MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 16 WARSZAWA, 17 KWIETNIA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

PACYFIZM

Pacyfizm nie jest zjawiskiem nowem, ale propaganda pacyfistyczna w ostatnich latach prowadzona jest z większem, niż kiedykolwiek, natężeniem i szersze, niż dawniej, ogarniać zaczyna kręgi. T. zw. „zmęczenie wojną“ nie może być dostatecznem wyjaśnieniem tego faktu, zwłaszcza jeśli się zważy, iż właśnie te narody, które w czasie wojny światowej zachowały neutralność (Danja, Szwecja, Szwajcarja) musiałyby chyba najsilniej owo „zmęczenie“ odczuwać, gdyż hasła „wiecznego pokoju“ zdobywają wśród nich szczególnie liczne i gorliwe rzesze wyznawców. Istotnych zatem, głębszych przyczyn dzisiejszej tęsknoty za pokojem szukać należy gdzieindziej.

Niewątpliwie w propagandzie pacyfistycznej wiele rzeczy daje się wytłumaczyć, jako rezultat określonych zupełnie interesów. Pacyfizm, jeśli szerzy się w krajach sąsiednich, może być z punktu widzenia polityki zagranicznej pewnych państw objawem bardzo pożądanym, który warto podtrzymywać nawet kosztem znacznych wysiłków i nakładów. Z drugiej strony, zwłaszcza po utworzeniu Ligi Narodów, organizacja życia międzynarodowego tak dalece została rozwinięta, że byt osobisty (i to bardzo dostatni byt osobisty) szeregu ludzi związany jest bezpośrednio z utrzymaniem rozlicznych biur, sekretarjatów, komisyj, których jedyną racją istnienia jest właśnie „zacieśnianie węzłów pokojowego współżycia i współpracy“. Dla wielu znowu „akcja na rzecz pokoju“ jest znakomitą sposobnością zdobycia wpływów, rozgłosu a choćby tylko podróżowania. W Europie dzisiejszej wytworzył się specjalny typ t. zw. „idealisty“, jeżdżącego od jednej stolicy do drugiej, aby podczas bankietów wygłaszać przy czarnej kawie płomienne przemówienia o „braterstwie ludów“ i o „szaleńczej zbrodni, jaką była ostatnia wojna“.

Ale wszystkie te zjawiska nie byłyby możliwe, gdyby pacyfizm nie miał także zwolenników szczerych, innemi słowy, gdyby nie był wyrazem określonego poglądu na świat i nie odpowiadał określonemu typowi psychicznemu i moralnemu współczesnego człowieka. Chcąc jednak ten typ i ten pogląd na świat zrozumieć, trzeba najpierw dać odpowiedź na pytanie, czem jest pacyfizm i na czem w istocie ideologja pacyfistyczna polega. Jasne jest bowiem, iż na treść tej ideologji nie może wystarczyć stwierdzenie, że wojna sprowadza wiele bolesnych następstw, jak śmierć przedwczesną jednostek najbardziej nieraz wartościowych, ogromne szkody materjalne i t. d. W stwierdzeniu tem nie byłoby doprawdy nic rewelacyjnego, jak nie byłoby rewelacją przypominanie odwiecznej maksymy, że losy wojny są zawsze niepewne, a stąd niewolno, bez koniecznej potrzeby, wystawiać na hazard przyszłości państwa i narodu. To też apostołowie pacyfizmu nie ograniczają się naogół do opowiadania tych starych prawd, na które nikogo nie mają potrzeby nawracać. Propaganda pacyfistyczna polega z reguły na wbijaniu w umysły poglądu, że każda wojna jest nietylko tragedją, ale zbrodnią, że idei zachowania pokoju każdy naród obowiązany jest podporządkować bezwzględnie wszelkie swoje interesy i dążenia.

Otóż ten pogląd, wynoszący utrzymanie pokoju na wyżynę naczelnego nakazu etycznego, normującego współżycie narodów, musi mieć, jako podstawę, przekonanie o najwyższej wartości tych właśnie dóbr, którym wojna zagraża, więc przedewszystkiem fizycznego bezpieczeństwa jednostki, oraz tych wszelkich dóbr materjalnych, wygód i ułatwień, które mogą wskutek wojny być zniszczone. Ostatecznem uzasadnieniem i źródłem tego poglądu jest materjalizm, przeświadczenie, że nie można ciężej wobec bliźniego swego zawinić, niż uczyniwszy mu szkodę na

zdrowiu albo na majątku. Pacyfizm dzisiejszy jest też w rzeczywistości próbą moralnego usprawiedliwienia ideologji komfortu, jej etycznym odpowiednikiem, i dlatego właśnie szerzy się przedewszystkiem w tych krajach i środowiskach, które z komfortu uczyniły w praktyce religję, opartą na dogmacie braku wiary w realność życia wiecznego. A przytem czy możliwy jest większy komfort w dziedzinie moralności, niż nakaz etyczny, żądający wyrzeczenia się trudów, niewygód, cierpień, kalectwa, przedwczesnej śmierci?

Zrodzony z materjalizmu, obcy idei wyrzeczenia i ofiary, pacyfizm z natury rzeczy wyradza się w poniewieranie bohaterstwem i poświęceniem. Wynika to nawet raczej z określonej wyżej ciasnoty typu psychicznego, niż ze złej woli. Z jakimż uporem powtarza się np. przy najrozmaitszych sposobnościach, że wojna światowa była jednocześnie i „szaleństwem“ i „zbrodnią“. Z jakiemż zgorszeniem zastanawiają się „idealiści“ nad „nieszczęsną psychozą“, która, niewiadomo dlaczego, ogarnęła w r. 1914 narody Europy. Z zimnem, bezdusznem okrucieństwem zwraca się propaganda pacyfistyczna do tych wszystkich, co noszą żałobę po poległych: „Mylicie się, że wasz syn, mąż, ojciec oddał życie za wielką i świętą sprawę. Był ofiarą zbrodni, a jeśli sądził, że był bohaterem, to przyznać musicie, że, niestety, uległ powszechnej podówczas psychozie, co oczywiście, nie zmniejsza naszego współczucia, ale...“ Ze szczególną bezceremonjalnością odnoszą się propagujący pacyfizm literaci do grobowca pod Łukiem Tryumfalnym: duch nieznanego żołnierza nieustannie zmuszany jest w ich utworach do opluwania ideałów, za które poświęcił życie. Łatwo gwizdać kuplety pacyfizmu na grobach bohaterów.

Poniewieranie bohaterstwem, wyuzdanie propagandy pacyfistycznej, największych rozmiarów dosięgło za czasów rządu Nittiego we Włoszech. Doszło do tego, że na ulicach napadano oficerów i żołnierzy, zrywając im krzyże i medale za waleczność. Ale wtedy wreszcie powstał potężny, powszechny prąd reakcji — faszyzm.

U nas pacyfizm mniej ma warunków naturalnych, niż gdziekolwiek. Brak dobrobytu, zapóźnienie w rozwoju kultury materjalnej, zbyt jaskrawo odróżnia nas od takich krajów, jak np. Danja, Szwecja, lub choćby Anglja, aby w psychice ogółu propaganda pacyfistyczna mogła znaleźć korzystne dla siebie podłoże. To też pacyfizm jest w Polsce zjawiskiem raczej literackiem, objawem snobizmu, bezmyślnem naśladowaniem Zachodu. Nie wydaje się, aby mógł zapuścić głębsze korzenie.

Ale jednocześnie prąd ten jest u nas bardziej, niż gdziekolwiek, niebezpieczny. Może nie jest to tylko zbieg okoliczności, że w ostatnich czasach właśnie pacyfiści niemieccy tak chętnie i często naszych „przyjaciół pokoju“ odwiedzają. Gdy „pokojowy układ stosunków“ oparty jest na rozróżnieniu bezpieczeństwa na zachodniej i wschodniej granicy Niemiec, a plan niemiecki odebrania Polsce Pomorza i Śląska zupełnie nie jest ukrywany, próby rozbrajania moralnego społeczeństwa stają się robotą o wyraźnych, zrozumiałych dla każdego następstwach. I mniejsza nawet, czy ci, co tego nie widzą, ślepi są, czy umyślnie zamykają oczy. Bezmyślność, czy zła wola, jednakowy tutaj dają wynik, na szkodę Polsce i na pożytek jej zachodnim sąsiadom. Czyż to poczucie blizkości grożącego niebezpieczeństwa nie da i u nas początku powszechnej reakcji, dyktowanej przez instynkt samozachowawczy?

JAN REMBIELIŃSKI

SKRZYDŁA I PĘTA DUCHA POLSKIEGO

PAŃSKA BUTA

KTO wchodzi do królewskiej Katedry na Wawelu, uderza jego wzrok nie aureola monarszej korony, ale blask srebrnej trumny tego świętego narodowego, co zerwał się do walki—z okrutnym tyranem.

Ledwo wychylając się z pomroków pra-dziejów, już mieliśmy w sobie pewne skłonności wrodzone — do rokoszu, już pisarz spółczesny Chrobremu Dytmar podnosi, że ten władca „musi z swym ludem postępować jak z wołem i smagać go jak ociężałego osła i że wogóle panujący bez ciężkich kar nie da sobie rady z tym ludem, jeśli chce być sam cały“.

Naród burzliwy, rokoszny, gotów rzucić sie na władzę — oto pierwszy nasz wizerunek.

Nasza pierwsza legenda piastowska zaczyna się buntem przeciw Popielowi i elekcją rokoszową Piasta. I odtąd idą wciąż rokosze, detronizacje, nowe elekcje, jedne po drugich: rokosz Masława, rokosz przeciw Bolesławowi Śmiałemu i t. p. Pierwszy Polak, co ujął pióro, aby napisać nasze dzieje, mistrz Wincenty, uważa za ideał monarchy takiego władcę, co zniesie dobrotliwie policzek, jaki wymierzy mu jego poddany! Kronika ta roi się od ciągłych rokoszów i to do tego stopnia, że pewien pisarz, czytając ją na pocz. XIV., zniecierpliwiony tym bezustannym łańcuchem buntów, wybuchnął w końcu gorzkim wyrzutem pod adresem Polaków i tak napisał na marginesie tej kroniki:

„Polacy, gdy się im jaki władca nie podoba, obierają sobie innego. Polacy z dawien dawna byli zawistni (zazdrośni), niestali, bawili się tak swymi władcami, jakby wielkanocnemi pisankami“.

...O duchy
Jak wy do buntu i do zawieruchy
Skorzy! Zawsze, jak widzę, Polacy.

(Słowacki „Samuel Zborowski“).

Z każdego Polaka wystrzela dusza rogata, czupurna, nieustępliwa, nie znosząca przymusu, ponad całość narodu się wynosząca, rozrywajaca i przekraczająca zasadę solidarności; jak za dawnych czasów, tak i dziś niejednokrotnie jednostka wynosi się ponad ogół i rozdziera Polskę na sztuki. Wciąż jesteśmy jakby narodem sobków, który wyraził swego ducha, rozbijając sejm przez osławione *„liberum veto“*.

„Da geht es zu, wie auf einem polnischen Reichstage“ mawiali Niemcy o burzliwych i kłótliwych zebraniach. Śród owych marginesowych dopisków kroniki mistrza Wincentego czytamy: *„Gens in se discordans“* t. j. naród kłótliwy, wzajemnie się w łonie swem niszczący, podkopujący, warcholski, niezgodliwy, „gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania“.

Prędzej w morzu wyschnie woda
Niźli u nas będzie zgoda*)
(Fredro, „Zemsta“).

Polacy są—jak zeznawał ów pisarz na marginesie— *„invidi“*, zawistni, zazdrośni, stąd te bunty. Kto u nas ujmie ster rządów, kto wybije się ponad ogół, tego w tej chwili ściga zadrość. Ledwo kto zaczął rządzić, już upada.

Choć nie lubimy inicjatywy u innych i wpychamy ich na nowo w głąb bagna bierności, to jednak sami garniemy się do steru i chcemy panować, jak powiedział Herburt na sejmiku w r. 1588*): „w Polsce każdemu się chce królować“, a jak mówi nasze przysłowie: „Każdy Polak rodzi się do korony“—uważa się sam za wcielenie Polski, za jej króla, za głównego jej wyraziciela. Nieźle Bakunin ujął charakter Mierosławskiego, kiedy powiedział *Le dernier mot*, że on jest Ludwikiem XIV Polski. *„La Pologne c'est lui“*. Rozsadza nas wygórowana ambicja i duma***).

Każdy chce u nas królować—powtarza Kalinka — „a nikt nie chce być posłuszny“. Nie znoszą Polacy przymusu, ograniczeń, zakazów. Nasz sławny „nierząd“, którym „Polska stoi“, wywodzi się stąd, że — „wolno w Polsce jak kto chce.“

Oczywiście, że ta wada najdobitniej zaznaczyła się śród szlachty (przysłowie „Panu wszystko wolno“), ale jest ona pra-polska, jest cechą i naszego włościanina, każdego Polaka. Słusznie pisze Dmowski w swej pięknej książce „Myśli nowoczesnego Polaka“, że dzisiejszy chłop wzbogacony wykazuje wszystkie dawne wady szlacheckie. Wzorem chłopa był pan i był wogóle typem narodowym—ogólnopolskim.

Podczas gdy typem Holendra, Szwajcara, Francuza był raczej mieszczanin, to typem Polaka był zawsze — szlachcic.

Swego czasu szlachta polska tak przerosła i przygasiła wszystkie inne warstwy, że typem Polaka stał się — Polonus — wąsal w kontuszu z karabelą. I zagranicą Polaka uważali jako pana. W Rosji czy na Ukrainie zwą nas do dziś „panami“, wiarę katolicką „pańską“, a Prusacy w czasie wojny światowej zwali zaprzęgi polskie „panie-wagen“. Przyczyniło się może do tego, że w rozmowach Polacy nie używają ani „wy“, ani „oni“, ale „panie, pani“. Używali tych wyrażeń nawet wobec ojca i matki. „Niema ulicznego żebraka w Polsce, którýby był tak nędzny, żeby go dzieci jego nie zwały panem ojcem, a żonę jego panią matką“.****)

Ton pański dominował i wśród nieszlachty. Pewna wyniosłość, *grandezza*, pompatyczność, barok. „Polacy dają chętnie nazwy bardzo pompatyczne rzeczom, które na to nie zasługują, wieś zwą miasteczkiem, dwory zamkami. Słowa u nich mają inne znaczenie, jak u nas i są o jeden stopień zawsze wyższe“*). „Pawiem narodów byłaś i papugą“. Naród nasz — jak mówił najbardziej pański z trzech wieszczów, Krasiński — to „fanfaron wielki“... Pańskość nadawała cechę i naszym miastom, a głównie Warszawie. Bił z niej zbytek wielkopański, wystawność. Kupiec zbogacony pozował na hrabiego i żył nad stan. Cudzoziemcy w 1791 dziwią się temu zbytkowi Warszawy. „Często dziwię się, a gdybym był krajowcem, możebym truchlał, — jak przy tem świetnem życiu, przy tej gonitwie za przyjemnościami może jeszcze istnieć dobrobyt, jak można jeszcze z uwagą zajmować się wielkiemi sprawami“. Uderza ich „zbytek, skłonność do butelki, życie nad stan, żądza zabaw i wygodnego życia, przepych, rozpusta“**).

Wszyscy bogatsi udawali panów, nie liczyli się z groszem, urządzali uczty, bankiety. W r. 1793 „w niedzielę na ulicy każdej po kilku pijanych“. „Pijatyka... u wysokich i u niskich, mężczyzn i kobiet tak rozpowszechniona jak nigdzie na świecie... zwłaszcza lubią gorzałkę“. Już w r. 1575 nuncjusz Lippomano zauważa: „niejeden, aby się świetnie pokazać, wydaje więcej, niżeli pozwala stan jego majątku. Słowem Polacy lubią przepych i przesadzają w zbytkach“.

Inny nuncjusz Ruggiery pisze w r. 1565: „Szlachcic polski wydaje więcej, niż ma dochodu i dlatego prawie cała szlachta jest zadłużona... mało dba o porządne gospodarstwo“***).

Pański gest kosztował nas wiele. Rosła buta pańska, ale kraj ubożał i popadał w ruinę****). Te pańskie zbytki i długi — to pęta, które coraz bardziej Polskę ściskały i dusiły. Pomimo to nie wszystko w tej butnej szlacheckiej tradycji należy napiętnować. Jeśli ta duma nie zwracała się przeciw Polsce samej, jeśli nie godziła w łono własnego społeczeństwa, ale rogami swemi bodła wroga zewnętrznego, to w takim razie była ona tarczą naszej niepodległości, bo zrzucała pęta obcej niewoli. „Polak karku nie zegnie“ — mówi przysłowie, Warszawa strącała obrożę i „urągała“ carowi. *Das stolze Volk* — hardy naród—mówią Niemcy o nas.

Nawet i to straszne, przeklęte *liberum veto* — które tyle szkody wyrządziło wewnątrz kraju, o ile jednak zwróciło się przeciw najeźdźcom i rozbiorcom, mogło dodać skrzydeł naszemu duchowi narodowemu. Kiedy Reytan położył się na progu izby poselskiej i powiedział: „nie pozwalam“ wbrew większości, która chciała uznać rozbiory, i stanął w obronie słabości naszej przeciw przemocy — wówczas jego głos nabierał wagi nie przez ilość ludzi, nie przez masę, ale mocą jego odwagi obywatelskiej—jego odwagi cywilnej, przez którą ocalał honor narodu. Bezgraniczne ukochanie wolności nie pozwoliło Wybickim, Reytanom, Kościuszkom zgodzić się na niewolę i obalało wszelkie ugodowe projekty. Ono pasowało nas w końcu w Europie na czołowych rycerzy wolności, którzy o nią walczyli na barykadach stolic europejskich pod sławnem hasłem „za naszą i waszą“.

---

*) Por. Gadon „Emigracja polska“; „Przegląd histor.“ 1919—20, 199; Skałkowski: „O kokardę“, 187.

**) „Kwartalnik historyczny“ 1903, 581-2.

***) Rykaczewski I 287. „Bibl. Warsz.“ 1887 IV 180, 186.

****) Liske „Cudzoziemcy w Polsce“ 95 (w r. 1670).

---

*) *Voyage en Pologne* 1813 (wyd. 1828), 55.

**) Liske, 218, 321.

***) Liske 98, 103, 214, 319 (r. 1791): Rykaczewski I 252. 128, 131, 169, II 366; Kromer, „Polska“ Bibl. Warsz. 1887, IV 176, 183.

****) O niechęci do podatków: Balzer. „Z zagadnień“ 34—35. O sprzedajności: Konopczyński, „Przyczyny upadku“ 1917, 218. Przyczyniają się do niej Żydzi: „Bibl. Warszaw.“ 1887, IV, 186.

Nawet i owe rokoszowe porywy dawnych wieków, przyzwyczajające nas do ciągłego bezkrólewia, wyhodowały w nas najwcześniej bodaj w Europie poczucie narodowe republikańskie, nie wiążące się z jakąś dynastją czy tronem monarchicznym i przygotowało nas do przetrwania okresu rozbiorowego, w którym własnych królów nie stało. Zdaje się, jakby nawet czasem nasze niedomagania pod wpływem gorącego patrjotyzmu przeradzały się w skrzydła naszego ducha narodowego.

WACŁAW SOBIESKI

O FILOZOFJĘ NARODOWĄ

Czas wezwać filozofji z głębi ducha naszego i wysnuć ją z istoty naszego jestestwa.

M. Mochnacki

DOTYKAM kwestji bardzo niepopularnej wśród ogółu naszych zawodowych filozofów, niemniej jednak, mojem zdaniem, ważnej i interesującej. Czy można, czy należy mówić o filozofji narodowej, o filozofji polskiej? Nie waham się odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, choć czuję, że po raz wtóry narażam się na niezadowolenie jednego z najzdolniejszych w Polsce pracowników na polu swoiście pojmowanej „filozofji ścisłej", który tak oto pisał w tej materji na łamach „Przeglądu Warszawskiego" (r. 1922, Nr. 14, str. 162): „Mówi się u nas o „filozofji Mickiewicza, Słowackiego, czy Wyspiańskiego" uważa się filozofję za coś istotnie związanego z taką lub owaką strukturą psychiczną, za wyraz tej lub owej postawy jednostki wobec „świata", ba — mówi się nawet o „filozofji narodowej", domaga się jej utworzenia, t jakby z równą słusznością nie należało w takim razi mówić o „matematyce narodowej" lub o „narodowej ologji"!*) Rzecz prosta, według autora, że jest to jedyni „pogląd utarty u nas wśród szerokich kół inteligencji, z aszcza wśród literatów", „pogląd popularny", właściwie nawet nie pogląd „w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz... szereg najrozmaitszych mniemań, zdań, sądów, wśród różnych okoliczności wygłaszanych" (tamże, str. 161). To też nasz autor bardzo krótko i węzłowato się rozprawia z tego rodzaju mniemaniami.

Ale nie zrażajmy się tym pozornie bezapelacyjnym wyrokiem! Zwróćmy się raczej do argumentów za i przeciw „filozofji narodowej". Bo co do próby ośmieszenia samego zagadnienia, jaka tu była zademonstrowana, nie możemy uznać jej za udaną. „Narodowa zoologja"? Tak, to brzmi zabawnie, być może, ale czy jest jaka zasadnicza różnica pomiędzy tem wyrażeniem, a wyrażeniem: „geodezja francuska"? A przecież nie jakiś „literat", ale jeden z najznakomitszych uczonych naszych czasów, matematyk Henryk Poincaré, zatytułował tak jeden z rozdziałów „Nauki i Metody", a to ze względu, że „nauka ta w większym może stopniu, niż nauki inne, przybrała w każdym kraju barwy narodowe" (prz. polski, str. 207). Więc n a w e t g d y b y filozofję wolno było traktować zupełnie tak samo, jak matematykę lub zoologję, chemję lub geodezję, t. j. poprostu jak jedną z nauk (co jest fałszem), to nie jest wykluczone, że możnaby, nie popełniając niedorzeczności, mówić o filozofji polskiej lub o filozofji jakiego wielkiego Polaka, zupełnie zresztą tak, jak mówi się (nietylko „u nas"!) o psychologji angielskiej lub o fizyce Maxwella. Że zaś pogląd, według którego filozofja jest „czemś istotnie związanem z taką lub owaką strukturą psychiczną", „wyrazem tej lub owej postawy jednostki wobec świata", etc., bywa wyznawany i głoszony nietylko przez amatorów-inteligentów, ale także przez wybitnych „zawodowych" filozofów, nietrudno się przekonać. Oto np. jak pisze William James („*A Pluralistic Universe*" (1909), prz. polski p. t. „Filozofja Wszechświata", str. 18): „Filozofja to wyraz najbardziej osobistych, najgłębiej sięgających cech charakteru człowieka, a wszystkie określenia wszechświata to tylko reakcje charakteru danego człowieka na świat zewnętrzny, przemyślane i po namyśle przez niego przyjęte". Wolno mniemać, że filozof amerykański był tu bliższy wielkiej, wiecznie żywej tradycji filozoficznej, niż polski fenomenolog z niemieckiej szkoły Edmunda Husserla.

Zdaje się, że te przykłady wystarczą, aby zrozumieć, że zagadnienia filozofji narodowej nie można zbyć drwinkami. Na szczęście, traktowano je u nas także w sposób poważny. Przypomnę tu choćby wykład d-ra S. Garskiego p. t. „Zagadnienie polskiej filozofji narodowej", wygłoszony w Krakowie w r. 1910*). Według tego autora o filozofji narodowej można mówić z dwu punktów widzenia: z punktu widzenia formy i treści. Twórczość filozoficzna, jak twórczość wogóle, jak każda dziedzina kultury, zależy od cech i właściwości indywidualnych nietylko twórczej jednostki, ale także społeczności i narodu, tej „najwyższej indywidualności zbiorowej" (Z. Balicki). Te cechy i właściwości w każdej epoce życia jednostki i narodu decydują o wyborze zagadnień i o sposobie ich traktowania, one też określają charakter rozwiązań. W rozwiązaniach tych wyraża się, odzwierciadla nastrój epoki, duch narodu, indywidualność jednostki twórczej. W tym sensie można mówić o filozofji z f o r m y swej narodowej**). Czyż jednak nie może istnieć filozofja... z t r e ś c i swej narodowa? — zapytuje autor i odpowiada na to, że jest istotnie pewna dziedzina badań o charakterze filozoficznym, w której na taką filozofję byłoby miejsce: jest nią najmłodsza z powszechnie znanych filozoficznych dyscyplin, h i s t o r j o z o f j a. „Uświadomienie sobie przez naród zadań, wyłaniających się z całokształtu jego bytowania, zadań, które nakłada nań konieczność historyczna, a które na się wziąć musi dla zdobycia najwyższych dóbr duchowych i bogatego, wszechstronnego życia narodowego;... uświadomienie sobie... swego posłannictwa dziejowego—stanowi filozofję historji narodowej,... jest przedmiotem filozofji... z t r e ś c i swej

*) Z dawniejszych filozofów polskich tegoż zdania był tylko Kremer: „Wtedy tylko będziemy się mogli spodziewać osobnej dla każdego narodu filozofji, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemję i t. d."

*) Ob. książkę zbiorową p. t. „Polska filozofja narodowa", Kraków 1921.

**) Por. też art. H. Struvego w „Ruchu Filozoficznym", rok I, Nr 1. (Filozofja, jako najwszechstronniejszy „wyraz indywidualnego nastroju narodów...").

narodowej, jest filozofją narodową we właściwem tego słowa znaczeniu“ (str. 27).

Nie tu miejsce na ściślejsze określenie charakteru filozofji historji, na wyjaśnienie jej stosunku do nauk filozoficznych. Powiedzmy odrazu: filozofja historji, a co za tem idzie, filozofja narodowa nietylko jest możliwa — jest konieczna. Bowiem, jak pisał H. Struve we wstępie do „Historji filozofji w Polsce“ (1900), „póki naród nie ma filozofji, dopóty działalność jego ma przeważnie charakter instynktowy. Naród jest wtedy podobny do osobnika, żyjącego z dnia na dzień, bez jasnego poglądu na zadania i cele swego życia. Nie panuje nad sobą i nie rządzi sam sobą, lecz staje się wytworem mniej lub więcej przypadkowym dwóch różnorodnych czynników: z jednej strony swych własnych bezpośrednich porywów, a z drugiej strony poglądów, przejmowanych z zewnątrz, oraz różnorodnych innych bodźców zewnętrznych...“ (str. 5).

Powyższe poglądy na filozofję narodową, w zasadzie niewątpliwie słuszne, wymagają jednakże pewnych wyjaśnień i uzupełnień. Narazie ograniczę się do kilku tylko uwag *). Słysząc np. o „posłannictwie dziejowem“, moglibyśmy mniemać, że wyrażenie to oznacza tylko szczególne posłannictwo narodu wybranego, narodu — Chrystusa, Winkelrida narodów. Tak nie jest. „Posłannictwo“, a jeżeli kto woli: rolę, zadanie dziejowe narodu można rozumieć także bardzo realnie, w sensie ściśle naukowym, można oceniać je trzeźwo i nader skromnie. Ale w dążeniu do trzeźwego liczenia się z dostępną zmysłom i pospolitemu rozsądkowi rzeczywistością, w chwalebnej trosce o ścisłość i rzetelność sądu, nieczułego na podszepty uczucia, w tępieniu wszystkiego co, zakrawa na fantazję i objaw megalomanji, źle jest wpadać, ku uciesze naszych wrogów, w przeciwną ostateczność: wpadać w mikromanję, w jakieś wschodnie poniżanie się i wyszukiwanie na ciele i duchu swego narodu i w jego życiu samych plam i skaz, w pokorną uległość obcym wpływom, w papuzie powtarzanie formułek, przeciwnych naturze Polaka. Nie godzi się nam przystawać na narzucaną nam rolę „małego“ narodu i „nowego“ państwa, skoro ani jednym, ani drugiem nie jesteśmy. Nie godzi się też—co, niestety, weszło u nas w zwyczaj niemal powszechny w kołach filozoficznych—lekceważyć wyrosłej z głębokiej miłości, z patrjotycznego bólu i szczerego natchnienia polskiej romantycznej filozofji narodowej. Przeciwnie, wydobywać ją należy z zapomnienia, badać sumiennie, wywalczać jej należne stanowisko w powszechnych dziejach filozofji. Nie zwalnia to od podjęcia trudu stworzenia systematu nowej filozofji polskiej. Powtórzmy sobie bowiem: naród żyjący pełnią życia państwowego i kulturalnego, w każdej epoce historycznej ma do spełnienia określone zadanie dziejowe i winien je sobie uświadomić za pośrednictwem swych najmędrszych i najlepszych przedstawicieli i duchowych przewodników, twórców narodowej filozofji. Bez takiej filozofji nie może być całkowicie świadomej pracy dla przyszłości, bowiem tylko w świetle jej zasad dadzą się wyznaczyć proste i pewne drogi dla narodowej polityki i narodowego wychowania.

BOLESŁAW GAWECKI

*) Por. art. autora p. t. „Pierwiastek filozoficzny w pedagogice“, „Przegląd Pedagogiczny“, 1922, zesz. 4.

Juljusz Laforgue

BILANS

(NA MARGINESIE KSIĘGI MIŁOSNEJ)

Jutro już mogę umrzeć, a jeszcze jak żyję,
Usta moje kobiecych ust nie dotykały.
Żadne oczy miłośnie na mnie nie spojrzały,
Do serca nie tuliły objęcia mnie niczyje.

Do dziś cierpiałem tylko za wszystkie istoty,
Za cały świat: wiatr, kwiaty, firmament gwiaździsty,
Cierpiałem skrupulatnie, za wszystko co do joty,
Nadewszystko, że duszy nie mam dosyć czystej.

Do dziś plułem na miłość, ujarzmiałem zmysły,
Szalony pychą życiu stawiałem opór hardo.
Sam jeden na tej ziemi, od nich niezawisły,
Gorzki mój śmiech popędy wyzywać śmiał z pogardą.

Wszędzie—salon, czy teatr—patrząc na zaloty
Panów najbardziej zimnych, potężnych, głębokich
I dam słodko zazdrosno lub wyniosłookich,
Których czyste duszyczki warte są pozłoty,

Słyszałem rżenie rui plugawej. Więc po to,
Po to tu tylko przyszli? Do tej dążą mety?
Dla trzech minut rozkoszy brnąć przez takie błoto!
Mężczyźni brać się w karby! Mizdrzcie się kobiety!

Przełożył STEFAN J. GODLEWSKI

KRWAWE RUBLE

(Z OPOWIADANIA PANA W. B.)

BLADE lutowe słońce przetoczyło się już było na zachodnią stronę nieba, gdy Maciej Grzęda wjeżdżał w opłotki Zdanowa. Choć ranny wiatr ustał był jakoś i ledwie minęło południe, mróz nabierał znowu mocy, aż skrzypiało w czystem powietrzu. Gniada kobyła posiwiała, bo szron osiadał na zwilgłej sierści, jako też na sumiastych wąsach Macieja i brudnoszarym kołnierzu baraniego kożucha.

Sanie, znacząc się buro na białej pościeli śniegowej, sunęły cicho szeroką drogą pomiędzy chałupami; strzechy, brzegami nastroszone, suche od mrozu, nakrywały ciemne ściany domostw jasnemi płachtami.

Chałupy były jak obumarłe w mroźnej cichości; zamarznięte, szklące się w promieniach słońca okienka widniały jak nieżywe, rozwarte ślepia.

— Wio, maluśka... — Grzęda podciął konia batem, przynaglając do szybszego biegu—wio, maluśka—powtórzył jakoś sennie, bo zimno go przejęło do kości i mroczyło mu się ździebko w głowie po gorzałce, którą wypił u Jankla w Leszczowej.

Majaczyło mu się w oczach niewyraźne przypomnienie rosyjskich mundurów, kręcących się po rynku i nowin, o których się był przewiedział u Żyda. Teraz już stało mu się jasne, że te strzały, które od wczorajszego ranka targały powietrzem i przerażeniem napełniały serca zdanowiaków, były echem bitwy rządu ruskiego z panami, którzy czynili bunt. A bitwa była nie tak daleko, w leszczowskim borze...

Macieja przejął krzynę niepokój, co będzie z tego zawichrzenia, które się rozkotłowało w okolicy, a którego przyczyny nie rozumiał.

— Pewnikiem nic dobrego, dumał, takie już musi urządzenie na świecie, że pan z panem cięgiem się wadzą, a chłopu z tego wadzenia i kość do ogryzki nie kapnie...

Na końcu wsi wjechał do swojego podwórza, leżącego przy samym zakręcie drogi do młyna i wygramolił się z sani. Zabrał się do rozbierania konia. U studni, wedle płotu żuraw skrzypiał; Marynka nabierała wody we wiadra. Na widok starego, dziewczyna puściła drewniane pedy; wiadro obiło się z chlustem o belkowanie studni.

— Ojciec—krzyczała, podbiegając — a chodźcie ino prędzej do chałupy!

— Konia rozbiorę—odparł flegmatycznie.

Złapała go za kożuch gwałtownie, ciągnąc do sieni; nachylając mu się do ucha, jęła przekładać coś żarliwie.

— Sołdat?? Zdurniała ty ze wszystkiem! — Popatrzył na nią podejrzliwie i wytrzeźwiał raptownie, w nagłem jasnowidzeniu zbliżającego się kłopotu.

— Sołdat? — spytał jeszcze, nierozumiejąc zgoła, co go to może obchodzić.

— Ni, tatulu, „buntowszczyk“, medalik ma na piersi i po pańsku odziany. Już ostatnią parę puszcza; skłóty bagnetami, że niepodobno...

— Masz go w chałupie?... — urwał nagle, bo na potwierdzające skinienie córki, przerażenie dech mu zaparło. Jezus! Dziewucha prosto przez rozumu, toć lada dzieciuch we wsi wiedział, że za ukrywanie „buntowszczyka“ groziła sroga kara, albo i stryczek.

Z izby buchnęła ciepłość; przywarł prędko drzwi i podszedł do komina. Na ławie, wpodle ściany leżała jakaś postać bezwładna, okryta pstrą płachtą z Maryńczynego łóżka. Blady, cienki profil rysował się ostro w półmroku, oczy skrywały przymknięte sinawe powieki, usta miał ciemne, jakgdyby spieczone gorączką.

— Patrzcie tatulu — mówiła szeptem dziewczyna — jaki śliczny, młody... Musi z jakiego dworu panicz.

— Trza z nim skończyć—przerwał natychmiast stary— niech idzie, skąd przyszedł. Jest „prikaz“, co „buntowszczyków“ trzymać nie wolno; karzą.

— Jakże ma iść, kiej obie nogi ma scharatane, ledwie zipi? Przynieślim go z Józwą we płachcie, bez ducha leżał. Trzaby lepiej po starą Margułkę lecieć, może mu co poradzi. Szkoda chłopaka.

Maciej podrapał się w ucho, silnie zafrasowany. Podszedł do ławy, uniósł trochę przykrycie, zmacał ręką bezwładne ciało.—Nie wyliże się—rzekł wreszcie — i Margułka nie poradzi. Będzie z tego ino mitręga, bo i z pochowkiem... Kajśta go znaleźli?

— A za sadem dworskim, w brzezinie. Pewnie przywlókł się rano z leszczowskiego boru, kaj wczora strzylali; cały śnieg kiele niego był upaprany krwiom. Zwołałam Józwę i przynieślim go we płachcie do chałupy. Ozgrzał się ździebko.

— Trza z nim jakoś skończyć... bojam się... jakby się ludzie zwiedzieli...

— Tatulu, toć nie pies i taki młody...

Pocałowała ojca w rękę. Stary spojrzał na nią bokiem. Kochał córkę, jedyną osłodę samotnego, wdowiego żywota. Zachciało się dziewusze, ot wiadomo, młoda, pstro ma w głowie...

— Niechta ostanie na dzisiaj — przyzwolił — tylko co byś pary z gęby nie puściła. Przecknie się i póndzie, skąd przyszedł. Nikto nie zachodził do chałupy?

— Ni, tylko Florek Walentów przewiadywał o żerdki.

— To siedź w chałupie i pilnuj, nie wpuszczaj nikogo; pójdę na wieś.

Czuł się nieswój. Jakiś nieokreślony niepokój ogarniał go coraz bardziej, odeszła go nawet zwykła chętka pogwarzenia ze znajomymi. Zląkł się, iż zdradzi się jakiemś słowem niebacznem, a może zgoła nie uredzi, by się nie zwierzyć kumom z tego kłopotu.

Przysiadł na saniach kiele płotu, skąd był widok na całą drogę, aż popod młyn i począł deliberować, jak tu sobie poradzić z tą mitręgą.

Niema i gadania, aby się ludzie nie zwiedzieli, że ma w chałupie „buntowszczyka“; i dzień jeden nie przejdzie, żeby nie zaszedł kto ze somsiadów...

A i dziewucha, jak to dziewucha, języka w gębie nie utrzyma. Raduje ją, że ma pobok gładkiego chłopa, ani chybi pochwali się przyjaciółkom... Ludzie się zwiedzą... a od ludzi, wiadomo, niedaleko do żandarmów. A żeby to jasne pierony!

Zachciało się panom wojny z rządem... Niby bez co? O co? Nie mogą to ludzie żyć w spokoju...

Z tych mglistych rozważań wyłoniło mu się znowu bardziej konkretne na razie i ważne pytanie, co począć z nieproszonym gościem. Zadumał się frasobliwie: co z nim zrobić? O właśnie, w tem był sęk. Trzymać w chałupie niepodobna, nieprzezpiecznie... jakby się tak ludzie dowiedzieli... aż strach pomyśleć! A tak nijako, żywego jeszcze człowieka wygnać na mróz jak psa parszywego...

i wstyd by było przed gromadą; ludzie o wszystkiem wiedzą.

Maciej westchnął ciężko. Psia mać, że to i tak źle i tak niecałkiem dobrze, deliberował strapiony, szukając uparcie trzeciego jakiegoś wyjścia, które pozwoliłoby mu „nie trzymać w chałupie“ i „nie wyganiać“.

Zameldować władzy? O Jezu! Przeciek... Jak błyskawica w ciemną noc pada gwałtownie w czerń boru, tak padło na niego olśnienie przypomnienia... aż go zamroczyło, jakby go kto zdzielił kłonicą przez łeb. U Jankla zeszedł się był ze Szczepanem Banasiukiem z Woli, który mówił, że za nalezienie „buntowszczyka“ „kazna“ płaci sto rubli nagrody. Jezus! Taka kupa grosza! Nie umiał sobie wyobrazić tylu pieniędzy, nigdy ich przecie nie widział... Przerażała go myśl, że tylko ręką sięgnąć i można mieć takie bogactwo. A niechta będzie i dwadzieścia pięć—skapitulował nagle ze swych marzeń na rachunek możliwości, i tak by było... Lecz żal go wnet ogarnął, żal tych siedemdziesięciu pięciu, które tak lekkomyślnie odtrącał i rzucał niby w błoto; toć Banasówna, stryjeczna Szczepana, służyła za dziewkę u wojennego naczelnika, chyba się nie przesłyszała...

Sto rubli! Gospodarkę całą bez mała możnaby za to mieć. Gospodarkę, jak gospodarkę, głupi by tera ziemię kupował... Ciągiem przecie gadają, że rząd chce uwłaszczyć chłopów... Ino inwentarz jak się patrzy narychtować sobie trzeba na tę porę, aby, gdy przyjdą nadziały, móc się zara chycić za obróbkę...

Konia zdałoby się przykupić... gniada już stara, nie uradziła by takiej robocie... i wieprzki ze dwa do podkarmienia... przydadzą się, bo przy tem bogactwie, Marynkę łacniej by przyszło wydać... Bruździna radaby Jasia swego przyżenić... a jakby ziemię dali, przydałby się w chałupie chłop młody, a robotny. I jeszcze te jałoszki, co organista z Leszczowej ma na przedanie... po wolskim byku, grube w grzbietach, a maściste jak jedna, nikto by nie rozczarował... I jeszcze wszelaki porządek gospodarski... i jeszcze...

Poczuł się mocarzem, bo mu się zdało, że wszystek świat kupić sobie będzie mógł za te pieniądze. Sto rubli, sto rubli, powtarzał cicho rozkoszując się dźwiękiem słów, niby szelestem gniecionego w ręce, sztywnego papieru.

Wstał, przeciągnął się sennie, oparł o żerdź płotu, bo pochwyciło go jakieś drżenie wewnętrzne... niepokój pożądania i nadziei.

Wyszedł na drogę, patrząc bezmyślnie, kędy pomiędzy czernią chałup siniała w wieczornych cieniach matowa powłoka śniegu. Błękitne niebo bledło i szkliło się ponad strzechami lutym zamrozem, słońce zachodnie gorzało za lasem i tylko bokami rzucało jeszcze na szafirową biel czerwienne, kose promienie... kryło się niby strwożone.

Błękitne smugi dymów szły z chałup w górę wątłymi słupami... skrzypiąca cichość obejmowała świat, tylko ode młyna dawał się słyszeć ciężki, przytłumiony śniegiem tupot na moście... jakgdyby stado koni nadciągało zwolna... Maciej nie słyszał, nie widział; jakaś mgła przesłoniła mu źrenice, a w tej mgle szarej, w oczach, w uszach, w sercu i w świecie całym, widniał tylko szeleszczący, sztywny płat papieru...

*

* *

Drogą od młyna, jechał na czele małego oddziału kubańców setnik K.

Ponad wysoką, srebrem nabijaną kulbaką, rysowała się w półmroku wyniosła, trochę naprzód schylona postać. Otulony szeroką burką, jechał stępa, w groźnem, ponurem milczeniu. Był zły. Dość już miał tej wojny—zabawki niewiadomo z kim, wojny żandarmskiej; dość wytapywania po dworach i lasach gołowąsych, niedorosłych dzieciuchów. Wojna—to wojna... — Idąc tu, radował się, że wojny zażyje... A teraz tłuc się trzeba po lasach i węszyć i szpiegować niby żandarm... Inaczej to — bywało — żyło się i wojowało w rodzinnym kraju, na dalekim Kaukazie...

Wczesny, zimowy mrok coraz bardziej ogarniał okolicę, płachtą cieniu kładłąc się na wyiskrzone djamentami pola.

Setnik jechał coraz wolniej, puściwszy wodze klaczy i dumał. Jakaś ciemna, kudłata postać zamajaczyła nagle przed końskim łbem; wysoki chłop, trzymając w ręce czapkę, chylił się do strzemienia oficera i coś mu prawił bełkotliwie. Ze słów splątanych rotmistrz dosłyszał tylko: buntowszczyk... w chałupie...

Otulił się szczelniej burką i ruszył prędzej. Czort jego weź, mruknął pod nosem, że też ani minuty spokoju... a sobacze nasienie!

— Jaśnie panie naczelniku, dopraszam się, — bełkotał Grzęda, biegnąc za koniem. Setnik jechał dalej milcząc, chłop zaś w przekonaniu, że nie został dosłyszany, zwrócił się do jadących żołnierzy i zaczął im tłumaczyć, o co rzecz idzie. Kilku nachyliło się ku niemu, pilnie słuchając; wkońcu jeden spiął konia ostrogami i skoczył ku rotmistrzowi.

— Wasze wysokorodje...

— Co takiego? — odmruknął niechętnie.

— U tego chłopa w chacie miatieżnik, sam mówi! — —

Setnik zawrócił wolno. Sprawa była przesądzona, wobec żołnierzy musiał spełnić, co do niego należało. Zeskoczył z konia i rzucił trenzlę najbliżej stojącemu kozakowi.

— Prowadź! — rzekł ostro do Macieja.

Oddział stał w pogotowiu, czekając rozkazu, kilku ruszyło za nim niepewnie.

— Stać, — huknął gniewnie — Sam pójdę!

Żołnierze zbili się w gromadkę, patrząc na siebie niespokojnie. — Wzbiesiłsia, — mruknął któryś cicho — płocho budiet. —

Setnik tymczasem wchodził w opłotki, poprzedzany przez Macieja, który trzymając czapkę w ręce i chyląc mu się ciągle do nóg, prowadził do chałupy. W wązkiej, ciemnawej sieni młody oficer uderzył głową o niską futrynę, aż czapka spadła mu na ziemię. Zaczął kląć.

— Już, już... niech się jaśnie pan naczelnik... pan generał...—bełkotał chłop. Wobec widocznej wściekłości rotmistrza, sam nie wiedział ze strachu, jak go tytułować i drżącemi rękami szukał pod progiem oficerskiej czapki.

W izbie powietrze było ciężkie i nagrzane, aż para poszła z naziębniętego odzienia wchodzących. W mdłem świetle małej, kopcącej lampki, sprzęty rysowały się niewyraźnie i ponuro.

— Gdzie?—rzucił ostro setnik.—Gdzie?—powtórzył chrapliwie. — Nozdrza latały mu jak źrebcowi, ręka spoczęła na głowni kindżała.

— A oździe, leży... — szepnął chłop roztrzęsionym głosem. Marynka skryła się cicho w najciemniejszy kąt i zamarłemi z przerażenia oczami wodziła po izbie.

Młody oficer podszedł do ławy i gwałtownym ruchem zerwał z leżącego płachtę. Wśród ciemni szmat

zabieliła wątła, młodzieńcza pierś, z krwawo-siną plamą na boku. Setnik chwycił dłonią poręcz ławy, aż zatrzeszczała i pochylił się nad umierajacym. W izbie stała się straszliwa cisza... Grzęda zgarbiony, oczu nie spuszczał z ręki rotmistrza, opartej na głowni kindżału.

Stal, jak błyskawica, zajaśniała nagle w mroku, nad głową chłopa. Cofnął się, zatoczył aż na ścianę... Młody oficer szedł ku niemu, z wyciągniętą bronią, sapiąc głośno... Zatrzymał się, rzucił znów okiem na rannego... Nagle sięgnął do kieszeni, zaszeleściała storublówka... Chodź tu—zachrypiał—ty sukinsyn, sobaka!

Na widok rubli chłopu rozbłysły oczy. Przemógł strach i podpełznął, ostożnie wyciągając rękę...

Setnik wlepił w niego błyszczące oczy i drżąc z wściekłości stał chwilę... w jednej ręce świeciło ostrze kindżału, w drugiej szarzała storublówka...

— Oto... zapłata... — zaharczał, bijąc go po twarzy papierem—a teraz... Dawaj kwartę! Nuże!—krzyknął, rzucając się ku ławie. Ostrze kindżału zanużyło się błyskawicznie w bielejącą, wątłą pierś konającego... Wyrwał je i odetchnął głęboko, jakgdyby z ulgą.

Z serca krew spływała cienką strugą, padając ciurkiem na polepę...

— Kwartę!

— Niby... niby...—bełkotał stary.

— Jest, niech się jaśnie pan naczelnik nie gniewa.— Marynka oprzytomniawszy raptownie ze strachu, podała rotmistrzowi przez zapaskę kubek z wodą.

— Nie ty, won! — Rzucił kindżał, wziął naczynie, wodę wychlusnął na ziemię. Trzymaną w ręce storublówkę zmiął w kulkę, wrzucił na dno kubka i gwałtownie chwycił chłopa za ramię.

— Bierz!

Wziął, sycząc, bo żelazna dłoń oficera miażdżyła mu ciało.

— Trzymaj!

Ciepła, dymiąca krew spływała wolno do naczynia, znacząc jego biel krwawym rozlewem... Poziom jej rósł szybko, szeleszcząca kulka papieru wypływała na wierzch... coraz wyżej...

— Pij!

— Jezus! — Chłop stał się siny, cofnął się o krok, lecz dłoń setnika ściskała mu ramię, ostrze kindżału wisiało nad głową.

— Pij, bo zabiję!

Zaczął pić, blednąc i słaniając się na nogach. Krztusił się i dławił, oczy wylazły mu na wierzch, pot kroplami spływał po twarzy... Zwalił się na ziemię, jak nieżywy; wypuszczony z ręki kubek strzaskał się w drobne kawałki... Setnik podniósł kindżał, otarł go o zwisającą płachtę... potem nadział czapkę i wyszedł cicho.

Na dworze była już noc mroźna, wyiskrzona... gwiazdy rzucały w śnieg posiew djamentów.

JANINA LASOCKA

Zaskrodzie. Styczeń 1926 r.

Z HORACEGO

DIFFUGERE NIVES (OD. IV.7)

ZMIENIA szatę swą świat już trawa się jawi na łące,
W gaju rozwija się liść.
Znikły śniegi, a rzeki roztopem wezbrane, tętniące
Z brzegów uwięzi chcą wyjść.

Nago już ważą się pląsać trzy Gracje z gronem Rusałek...
Roku ostrzega nas bieg
Z każdą chwilą, co dzień za dniem urywa życia kawałek,—
Że jest śmiertelny na nasz wiek.

Wiosna zimę skruszyła—lecz wiosnę lato wnet wyprze,
Ono przeminie też wraz.
Jesień jego dziedzictwo roztrwoni... Toż w tropy najszybsze
Zimy przybieży znów czas.

Jednak chyże miesiące nagrodzą onych pór straty.
My zaś — gdy w ziemi już rdzeń
Wnijdziem, gdzie zbożny Eneasz, gdzie Ankus i Tullus bogaty,
Popiół z nas będzie i cień...

Któż może ręczyć, że bogi o jedną dobę jutrzejszą
Życia przedłużą nam ciąg?
Przetrwoń życie w radości!... Dziedzicom, co mienie twe zmniejszą,
Wydrzesz z zachłannych je rąk.

Gdy już raz umrzesz, świetny Torkwacie i kiedy nad tobą
Minos odprawi swój sąd
Już cię nie wskrzesi twój ród, wymowa błyszcząca ozdobą,
Ani też bożych cześć świąt.

Boć Hipolita czystego nie zbawia Djana z podziemu,
Gdy w mrok śmiertelny był wzięt,
Ani Tezeusz nie zdoła Pirytojowi drogiemu
Skruszyć letejskich pęt...

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

LIBERUM VETO

Niebezpieczny przyrząd. — Co by się stało po wymierzeniu inteligencji.—Bezrobotni, zapuszczone drogi i nieuregulowane rzeki. — Co świat ceni w Niemczech a co lekceważy u nas. — Spójrzmy w rzeczywistość.

DO liczby wynalazków szkodliwych dla ludzkości lub specjalnie dla nas należy niewątpliwie przyrząd jakiegoś niemca Biskiego, mający wykazać rodzaj i stopień inteligencji człowieczej. Jeśli to nie jest plotka dziennikarska i jeżeli taki złowrogi aparat został rzeczywiście wynaleziony, to wszystkie społeczeństwa powinny się sprzymierzyć, ażeby go do siebie nie dopuścić. Bo wyobraźmy sobie, jaki to straszny, niebywały, przewyższający największe rewolucje przewrót dokonałby się w stosunkach międzynarodowych, publicznych i prywatnych, gdyby jakimś ścisłym probierzem zaczęto wymierzać wszystkie umysły! Rada, jaką minister szwedzki Oxenstierna, dał swemu synowi, wybierającemu się w podróż po Europie: „Jedź i przekonaj się, jacy głupcy światem rządzą“ — nie straciła dziś po 300 latach nic ze swej trafności. Patrząc zdala na rozmaitych monarchów, polityków, mężów stanu, prawodawców, rządzących losami narodów, trwamy ciągle w tem mniemaniu, że to są ludzie bardzo mądrzy. A gdy jakiś przypadek zdradza nam ich głupotę, jesteśmy zdumieni. Bo ktoby np. spodziewał się, że Lloyd George, który po ostatniej wojnie przerabiał Europę, niszczył stare i stwarzał nowe państwa, krajał ziemie i narody, skazywał jedne na śmieć lub chorobę, innym zapewniał zdrowie i życie, że ten wielki człowiek jest nieukiem, biorącym kraje za miasta i nie mającym żadnego pojęcia o sprawach i rzeczach, o których wyrokował w ostatniej instancji? Ktoby przypuścił, że niektórzy uczestnicy traktatu wersalskiego inaczejby głosowali, gdyby przedtem zaznajomili się z elementarnym podręcznikiem historji lub geografji? Moglibyśmy jeszcze łudzić się, że tak nie jest, gdybyśmy u siebie nie oglądali podobnego widoku. Znaliśmy doskonale jakiegoś prostoducha, wiedzieliśmy, co on posiada w swej głowie, sądziliśmy, że ma odrobinę wiedzy, wystarczającą zaledwie do prowadzenia szkółki elementarnej, kancelarji pokątnego doradcy, tańców na balach, do pisania w urzędzie gminnym, ławnikowania w magistracie małomiejskim, nagle czytamy w gazetach, że ten mąż został wybrany posłem, mianowany naczelnikiem wydziału, dyrektorem departamentu, ministrem, przewodniczącym w komisji sejmowej, że jest prawodawcą lub dygnitarzem władzy wykonawczej, że wydaje ustawy dla całego narodu i nim rządzi. Wtedy mówimy sobie: jeżeli ignorant może być sternikiem tak olbrzymiego okrętu, jakim jest W. Brytania, to tembardziej może być sternikiem tak małej motorówki, jaką jest Polska. Ale to zrozumienie wcale nie zmniejsza szkodliwości aparatu do mierzenia inteligencji. Gdybyśmy żebraka odziali płaszczem monarszym, po pewnym czasie zapomnielibyśmy, że pod jego purpurą kryją się łachmany, podobnie gdy jakiegoś prostoducha umysłowego wprowadzimy na wysokie stanowisko, zapominamy, gdzie on był i być powinien. Gotowi jesteśmy nawet uwierzyć, że jest „właściwym mężem na właściwem miejscu“. Tymczasem, gdyby wprowadzony został przyrząd Biskiego i gdyby według niego prawodawca i rządca kraju otrzymywał wskaźnik swej inteligencji — a jeszcze z obowiązkiem okazywania go odpowiednim znakiem na kołnierzu lub czapce, — nastąpiłby tak gwałtowny przełom w pojęciach, takie przesunięcie się znaczeń „personalnych“, że nasz świat znowu przewróciłby się górą na dół. Wtedy nieraz kłanialibyśmy się uniżenie kancelistom lub woźnym, a lekceważyli dyrektorów i posłów. Czy państwo mogłoby istnieć przy takim zamęcie, przy takiem „zrewidowaniu“ opinji publicznej, przy takiem „zlikwidowaniu“ dostojeństw, przy takiem „podkreśleniu“ wartości upośledzonych rozumów?

Miejmy jednak nadzieję, że to złe nas ominie — i cieszmy się tem, co jest. Skutkiem wielkich ciężarów, „zdobyczy społecznych“, których nasza produkcja dźwignąć nie chce lub nie może, pomnożyła się armja bezrobotnych. My znamy na to tylko jeden ratunek: kilku rotom dać jakieś krótkotrwałe, często nienajpilniejsze zajęcie, a resztę żywić na koszt państwa lub gmin miejskich. Nakreślmy tło dla tego obrazu. Oprócz kilku szos, które zbudowali Moskale lub Niemcy, Polska posiada tylko drogi naturalne, straszne, przysłowiowe w całej Europie, na których niszczą się sprzężaje ludności ku wielkiej szkodzie i wstydowi społeczeństwa. Dwa psy mogą więcej uciągnąć w Niemczech, niż para koni po naszych błotach, kałużach i wybojach. Gdy Niemcy weszli do nas, przedewszystkiem zajęli się biciem lub naprawą dróg, pozostawiając nam po sobie jedyną dobrą pamiątkę i wzór, którego naśladować nie mogliśmy. Ile razy ta sprawa zostanie wywleczona z zapomnienia i zaniedbania, zawsze bywa skazywana na dalszy wieczny odpoczynek z nadmienieniem, że nie posiadamy dla niej potrzebnych środków. A nie posiadamy ich przez cały czas istnienia Polski i tylko my jedni w całym cywilizowanym świecie, my najwięksi jego zbytkownicy i marnotrawcy. Wolimy tracić ogromne sumy na zapomogi dla niepracujących, niż dać im pracę z korzyścią dla kraju. Gdybyśmy te fundusze zużyli na tworzenie dobrych dróg i gdybyśmy do tego przedsięwzięcia pociągnęli obowiązkowo gminy wiejskie i miejskie bądź w osobnych składkach, bądź w robotach, nie mielibyśmy armji bezrobotnych, a natomiast mielibyśmy drogi bite. Że to jest przedsiewzięcie wykonalne, dowodem już nietylko przykłady zagraniczne, ale nawet miejscowe czyny paru energicznych starostów, którzy w obrębie swojej władzy i wpływu pogryźli te twarde orzechy, na których my boimy się połamać spróchniałych zębów. A nie jest to jedyne pole zaniedbane, które mogłoby być płodnem. Corocznie gazety donoszą o strasznych klęskach powodzi. Już zaczęły się te skargi. Dopływy Narwi grożą zalewem 20,000 morgów łąk i zniszczeniem 40,000 wozów siana. Ponieważ wylewy niektórych rzek rozszerzają się na pograniczne obszary niemieckie, przeto prusacy wystąpili z propozycją, że oni nam łożyska tych wód uregulują, jeżeli otrzymają na to pozwolenie. Ile w tej propozycji tkwi sromoty dla nas! Podczas gdy daremnie czekają na podjęcie i szybkie rozwiązanie sprawy i zadania gospodarcze wielkiej wagi dla narodu, my ciągle układamy sobie proporcje algebraiczne z P. P. S., Ch. D., N. P. R., Z. L. N., P. S. L. i t. d., z których nic nie wypada, oprócz formuł na usypywanie gór, rodzących myszy. Dziwimy się i gniewamy na uprzejmość Ligi Narodów względem Niemiec, sprawców wielkiej wojny i obecnej niedoli świata. Jest to widok wstrętny, ale jakże pouczający! Jest to uznanie, szacunek dla narodu, który pracuje, oszczędza, doskonale gospodarzy i przez to stanowi potęgę. Czy świat ma czcić nasze próżniactwo, marnotrawstwo, ograbianie majątku państwowego, bezprawie, rozstrój, podnoszenie na szczyty społeczne ciemnoty, chamstwa i pasorzytnictwa? Co pewien czas wsuwają się do nas tajemnie lub jawnie wywiadowcy amerykańscy, badający warunki bezpieczeństwa dla pożyczek, i rozejrzawszy się w naszych stosunkach i urządzeniach, wyjeżdżają, zawożąc do swych krajów ostrzeżenie: Polska jest ciągle w stanie płynnym a po części gazowym; w niej kapitał obcy nie ma jeszcze trwałego oparcia. I my chcemy, żeby nas ceniono? Tego kredytu materjalnego i moralnego nie zdobędzie wilkołak poli-

tyczny—kapitalistyczno-komunistyczno-socjalistyczno-biurokratyczno-próżnujący, wielkie drzewo z podciętemi korzeniami, z obdartą korą, z objedzonemi pędami i liśćmi przez najrozmaitsze robactwo. My chcemy, ażeby Niemcy nie grozili nam rozbiorem i zaborem, ażeba Europa uznała w nas mocarstwo, zdolne wywrzeć wpływ na jej losy, kiedy b. naczelnik państwa, obdarzony najwyższą godnością, wojskową, w listach publicznych lży generałów w czynnej służbie i zniesławia całą organizację armji, kiedy dzięki tym wichrzeniom objawia się w niej taki rozstrój, że oficerowie skarżą się na niemożność zapanowania nad niekarnością żołnierzy? My chcemy być wielkiem państwem, kiedy partje rozkładowe gotowe są raczej narazić je na zgubę, niż zrobić najmniejsze ustępstwo ze swych zdobyczy i roszczeń, kiedy cały naród zdaje się wołać ratunku i wzywać jakiegoś wszechwładnego zbawcę?

Spójrzmy w rzeczywistość.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

CO TO JEST DWUNARODOWOŚĆ?

PROFESOR J. Baudonin de Courtenay w świeżej broszurze p. t. „W kwestji narodowej", (Warszawa 1926 księgarnia Hoesicka) wyraża przekonanie, że właściwie na świecie istnieją tylko: „człowiek pojedyńczy" i ludzkość cała: „Wszystko inne, wszystkie owe narodowości, ojczyzny i t. p. to tylko *mala necessaria* (autor drukuje to „zło konieczne" tłustym drukiem), to tylko przeszkody na drodze do wcielenia w życie solidarności wszechludzkiej".

Gdybyśmy jednak zapytali autora, co zrobił człowiek „pojedyńczy" kiedykolwiek i gdziekolwiek na kuli ziemskiej—nie związany ze „stadem" czy narodem—byłby szanowny profesor w kłopocie, bo taki człowiek nigdy nie istniał, a istnieje tylko w abstrakcji—w głowie uczonych. Cokolwiek ludzkość zdziałała, to zdziałała przez narody a conajwyżej związki narodów.

Już swego czasu powiedział de Maistre w *Considerations sur la France* („*Oeuvres*" ed. 1875) I. 68.: „Widziałem Francuzów, Włochów, Rosjan, ale jeśli chodzi o człowieka, to w mojem życiu go nie spotkałem; jeżeli istnieje, to istnieje po za moją wiedzą".

Szczególnie solą w oku profesora Baudouin de Courtenay są „przeczuleni patrjoci polscy". Np. tak się o nich wyraża: „Żydzi wileńscy mówią dziś w znacznej części po rosyjsku, wywołując oburzanie się przeczulonych patrjotów polskich. Oburzanie się to jest oczywiście objawem patologicznym..."

Autor bardzo żarliwie staje w obronie „dwunarodowości" u Żydów. Czy są gdzie tacy? Autor sądzi, że takim dwunarodowym prostym człowiekiem był Jankiel cymbalista w „Panu Tadeuszu". W istocie nie był jednak ten Jankiel Żydem z krwi i kości, ale niezgodną z faktami historycznymi r. 1812 marą wyobraźni „przeczulonego patrjoty polskiego" — jak zwie autor Mickiewicza na str. 23.

Chodząc w dzień z lampą po świecie, autor wreszcie znalazł takiego Żyda—żywego, inżyniera Hirschsohna. Jak był on przywiązany do Polski?! Oto, jak czytamy przez pewien czas był Żydem i Polakiem, wreszcie w r. 1880 kopnął Polskę, potem znów poczuł się Żydem i Polakiem—czyli nie był dwunarodowcem, ale poprostu Żydem, raz sympatyzującym z Polską, a drugim razem ją nienawidzącym.

Autor zaliczywszy Poznań do miejscowości o charakterze dwunarodowym, akcentuje, że w Polsce niema gospodarzy ani gości. Polsce stawia za wzór (!) nieboszczkę Austrję. „Austrja mogłaby stać się wzorem państwa, zbudowanego nie w imię instynktów zoologicznych, ale na podstawie interesów gospodarczych i solidarności międzynarodowej". Zadziwia nas to czułe westchnienie za ś. p. Austrją u autora, który za jej życia nie mógł się pogodzić z jej duchem i opuścił jej granice, przenosząc się do Petersburga. Tak jak „rolę Piemontu dla Polski odegrała austrjacka część Polski", tak „byłoby pożądanem, ażeby Piemontem Ukrainy była jej część, wchodząca do składu państwa polskiego... Niestety ciasne i zakute głowy nie chcą tego zrozumieć"...

Nie chce autora zrozumieć Polska „zmartwychwstała". Autor daje tu cudzysłów, gdyż oświadcza, że jest ona nie tak zmartwychwstała, jak raczej „zrodzona ze zbrodniczej wojny światowej i w wytworzonej przez tę wojnę kloace wszechświatowej"...

Spostrzegłszy, że w Rosji bolszewickiej, anty-nacjonalnej wytworzyła się także niezbyt powabna „kloaka", odżegnywa się od tego komunizmu, „nie odpowiadającego wcale wymaganiom uspołecznienia nowoczesnego", a natomiast wychwala „komunizm w wyższym stylu" „komunizm rozumowy, oparty na poczuciu sprawiedliwości, jako wykwit cywilizacji". Tego rodzaju komunizm, i wogóle tego rodzaju pomysły, rodzą się w głowie uczonego filologa.

W. S.

O CZYSTOŚĆ DUCHA

EMIL Zegadłowicz, nawiązując do artykułu p. T. Łopalewskiego („Kurjer Wileński" z d. 10 marca), streszczającego polemikę w sprawie „Fausta", ogłosił w Nr 77 tegoż dziennika artykuł p. t. „Błoto w herbie". Poeta mówi o krytyce, o nizkim poziomie już nie literackim, ale etycznym pisarzy. Przytoczył, jakich „sposobów" używa się w krytyce i konkluduje, że słowo drukowane wobec tych obyczajów staje się synonimem nieszczęścia, „chce się wołać dobitnie i nieustępliwie: nie chcę sztuki, nie chcę poezji! Jednego tylko pragnę: uczciwości. Wyzbyliśmy się szczęśliwie przesądu: sztuka dla sztuki; wyzbądźmyż się jeszcze drugiego, gorszego — że może istnieć wielka twórczość bez prawości, a twórca bez etyki".

Zegadłowicz doświadczył na sobie losu kanarka, który się dostał między wróble. Wyobcował się od nich, idąc na swoją pustelnię w poszukiwaniu wartości wiecznych. Środowisko literackie warszawskie uznało go za człowieka „nie życiowego", niesolidarnego i... bezbronnego. W rozgwarze polemiki Zegadłowicz z ewangeliczną pobłażliwością, aby uśmierzyć gniew w sercach kolegów po piórze, wystosował do jednego z nich wiersz, wyznający, że pomimo wszystko ma dla niego miłość. Przykro było czytać, jak niewrażliwie było to przyjęte, jak cynicznie odpowiedziano na ten ruch pogardą.

A przecież z polemiki pokazało się, że nie było podstaw do złorzeczenia Zegadłowiczowi za przekład. Nie umiano, nawet nie próbowano udowodnić, że przekład był zły. Pokazało się z ogłoszonego u nas studjum p. Hulewicza, że przekład był wyśmienity, najlepszy z istniejących. Przyszedł więc istotnie czas na mówienie o uczciwości w krytyce. I dobrze zrobił Zegadłowicz, że ten moment etyki uwydatnił.

Powstały dwa światy, które się przestały rozumieć: ludzi wrażliwych etycznie i tych, którzy wszelkie kryterja wartości moralnych zagubili. Zamiast wartości słowa zapanowała zasada jego użyteczności życiowej. Słowo lite-

rackie stało się narzędziem walki obozów, co gorsza — osobistych interesów. W danym wypadku, jak ze wszystkiego widać, Zegadłowicz miał być ofiarą intrygi. Szukano broni, żeby uderzyć w kierownictwo teatru, które „Fausta“ w jego przekładzie wystawiło, usiłowano przytem przeforsować inny przekład do teatru konkurencyjnego. Sądzono, że Zegadłowicz, stojący na uboczu, nie znajdzie obrony i zamierzono mord literacki. Mord, który się nie udał.

Czasy nieco się zmieniły. Zasada wartości znalazła już punkty oparcia w ogniskach, które potrochu poczynają się organizować. „Myśl Narodowa“ podjęła walkę zasadniczą z hołdownikami osobistych użyteczności w literaturze. Sprawa „Fausta“ stała się walką zasadniczą o byt literatury, która bez oparcia o wartości wieczne prawdy musi się stać zaprzeczeniem twórczości. Czytelników, nie zdających sobie w całej pełni sprawy, jak dalece zasadniczy charakter ma ta rozprawa, mogło niecierpliwić, że tyle miejsca jej poświęcamy. Jednak niech nie żałują czasu, poświęconego „Faustowi“ — jest to jedna z typowych potyczek, które stoczyć trzeba, aby oczyścić atmosferę polskiej twórczości wogóle. Przebieg sporu wraz z rozprawą o przekładach „Fausta“ p. Hulewicza będzie wydany w osobnej broszurze ku pamięci historycznej.

Zapewne tamtej stronie nie zbraknie praktycznego łupu na pociechę. Czy „Faust“ dobrze czy źle przełożony, intryga swoje dalej robić będzie, pomimo że mord na poecie się nie udał. Może kapnie jaka posada, ile że Warszawa jest żerowiskiem podatnem. Ale my nie o posady walczymy, lecz o prawo organizowania opinji do pracy czystej. Czystość atmosfery twórczej jest największą grozą na podjadków życia i sztuki, mających błoto w herbie.

(x)

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Po zamachu na Mussoliniego.—Dyktatura w Grecji.—Min. Skrzyński w Pradze i w Wiedniu.—Stosunki w armji.

DNIA 7 b. m. na zebraniu sekretarzy prowincjonalnych partji faszystowskiej w Palazzo Vittorio mówił Mussolini, iż, jako dewizę, przyjął w życiu zasadę „Żyj w niebezpieczeństwie“. Tegoż dnia, na placu przed Kapitolem, obywatelka angielka Mrs. Violet Albina Gibson dokonała zamachu na wodza Włoch, który trafem tylko uniknął śmierci, zwróciwszy głowę, tak że kula uszkodziła mu jedynie kość nosową. Nazajutrz na pokładzie pancernika *„Conte di Cavour“* udał się w podróż do Trypolisu, która stała się wspaniałą manifestacją ekspansji kolonjalnej Włoch i ścisłej łączności starej rzymskiej kolonji afrykańskiej z odrodzoną Italją.

Fakt, iż zamach dokonany został przez cudzoziemkę, nie przez Włocha, jest niezmiernie znamienny. Śledztwo sądowe niewątpliwie wyjaśni wkrótce zarówno okoliczności zamachu, jak jego motywy. Warto jednak zaznaczyć, iż mówiąc o dewizie „żyj w niebezpieczeństwie“ z całą świadomością stwierdzał tegoż właśnie dnia Mussolini, że „każda zwycięska rewolucja ma przeciw sobie cały dawny świat“ a rewolucja faszystowska jest „antytezą całkowitą, stanowczą, ostateczną całego dawnego świata, demokracji, plutokracji, masonerji“, wielkich sił międzynarodowych, połączonych dla zwalczania nowych Włoch i ich wodza. Szerzy się agitacja przeciw Mussoliniemu i faszyzmowi w prasie światowej, w publikacjach, na zebraniach i wiecach. Ogromne kapitały, wpływowe, rozgałęzione organizacje oddane są na jej usługi. Ale w rzeczywistości cała ta wytężona akcja jest tylko nowym dowodem, że i poza granicami Włoch walka faszyzmu przeciw „nieśmiertelnym zasadom 1789 roku“ budzi odzew, staje się coraz bardziej niewygodna, coraz bardziej niebezpieczna dla przeciwników. Faszyzm coraz dobitniej objawia swoją żywotność i siłę. „Porządek stary już się wali“.

Na prezydenta Grecji wybrany został drogą plebiscytu gen. Pangalos. Prasa nasza, która naogół zna dyktatora greckiego z tego tylko, że jest przeciwnikiem... noszenia zbyt krótkich sukien, bardzo mało miała o tem wydarzeniu do powiedzenia. A tymczasem utrwalenie dyktatury w Grecji jest niewątpliwie faktem bardzo znamiennym i godnym uwagi. Znów zmiejszyła się o jedno liczba państw o ustroju demokratyczno - parlamentarnym. Coraz mniejsza staje się ta część terytorjum Europy, na której ustrój ten panuje.

Podróż premjera Skrzyńskiego do Pragi dała sposobność do wspaniałego zamanifestowania przyjaźni i współpracy polsko-czechosłowackiej. Prasa czeska, bez różnicy przekonań, entuzjastycznie wita tę współpracę, którą zawierane obecnie umowy zacieśniają na terenie zarówno politycznym, jak gospodarczym. Z Pragi udaje się premjer Skrzyński do Wiednia, gdzie omawiana będzie sprawa traktatu arbitrażowego polsko-austryjackiego oraz pewne zagadnienia gospodarcze.

Nie czekając powrotu premjera, minister spraw wojskowych gen. Żeligowski zdecydował się przyjąć dymisję gen. Szeptyckiego, ogłaszając ponadto bardzo nieszczęśliwie zredagowane oświadczenia. Stosunki w wojsku budzą w opinji coraz większy niepokój i rozgoryczenie. Natychmiastowa naprawa tych stosunków staje się koniecznością, niemożliwe jest bowiem, aby wichrzenia osobiste mogły dalej tamować normalny bieg prac w tej szczególnie odpowiedzialnej dziedzinie rządu Państwem, jaką jest organizacja jego obrony.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

DOBRE KSIĄŻKI

KSIĄŻEK u nas wychodzi obecnie bardzo mało, ale za to wartościowych — wiele. Drożyzna zatamowała szeroki wylew grafomanji i pretensjonalności; jeśli się przez jej zapory coś przedrze, to czasem dzięki zręcznej spekulacji, ale często dzięki sile. J. Cynarski opracował „Łotwę współczesną“ (z mapami i ilustracjami, Warszawa 1925). Monografja ta byłaby w każdym czasie cenna i pouczająca, ale nabiera szczególnej wagi dziś, gdy nasz stosunek polityczny do sąsiadów nie jest jeszcze uregulowany, a w interesie obu stron powinien być przyjacielski. Łotwa jest państwem zbyt małem (65,791 klm. kw., 1,840,000 lud.), ażeby mogła powierzyć swą przyszłość własnej samodzielności; Polska zaś jest zbyt zagrożona przez dwóch obocznych wrogów, ażeby mogła lekceważyć sojusz nawet z drobnymi sprzymierzeńcami. Z republiką łotewską wiążą nas wspomnienia historyczne. Jedna z jej dzielnic (Letgalja) stanowiła Inflanty Polskie, oderwane przy pierwszym rozbiorze. Ryga do ostatnich czasów ściągała młodzież polską na swą politechnikę.

Łotwa jest republiką radykalnie demokratyczną, z ordynacją wyborczą pięcioprzymiotnikową z parlamentem jednoizbowym. Głosowanie na posłów odbywa się z listy, ale można z niej wykreślać lub wpisywać innych kandydatów. Ludność zawiera (w okrągłych cyfrach) 72% Łotyszów, 7% Rosjan, 4% Białorusinów, 5% Żydów, 3% Polaków i Niemców. W większości jest protestancka, katolików liczy 23%. Naj-

liczniejszemi stronnictwami w sejmie są socjaliści (38%) i konserwatywny związek chłopski (17%). Charakter włościański ludności rdzennej w połączeniu z nienawiścią do posiadaczów większych dóbr, baronów niemieckich, nadał szybko uchwalonej i przeprowadzonej reformie rolnej najskrajniejszą w Europie postać wywłaszczenia. Folwarkom zabrano nie tylko ziemię, ale również inwentarz bez odszkodowania, pozostawiając właścicielom 45 — 100 hekt. Nie dość tego. Nie zawsze wykrojono im resztkę w środku majątku z dworem, lecz usuwano na jego krańce. Działo się to nieraz na drodze nadużyć, zdobywających takie ośrodki dla posłów lub osób protegowanych. Przeciwko temu wywłaszczeniu bez odszkodowania obcych obywateli zaprotestowały rządy ich państw, skutkiem tego mają oni być wynagrodzeni pełną wartością skonfiskowanej ziemi. Ludność polska, składająca się z drobnej szlachty i włościan, w większej części zatraciła poczucie przynależności do swego narodu i uznawała się za „tutejszą“, zawiniły w tem dwory polskie, niewywierające na nią prawie żadnego wpływu. To też w sejmie łotewskim, w którym Polacy powinni procentowo posiadać trzy mandaty, zdobyli tylko jeden. Istnieje wszakże parę organizacyj, rozdmuchujących słabe iskry życia polskiego: Towarzystwo Oświaty i Związek Polaków na Łotwie. Dalszy rozwój tego życia zależy nie tylko od jego wewnętrznej energji, ale również od warunków zewnętrznych: „Bierne naogół — mówi autor — jest społeczeństwo polskie na Łotwie, ale nie brak mu również i przywiązania do polskiej sprawy. Nie wszystkim natomiast przyświeca świadomość, że są sprawy, w których niezależnie od takich czy innych poglądów, solidarność jest obowiązkiem i że są metody, do których narodowi, przebywającemu przez tyle wieków w niewoli, uciekać się nie wolno“.

W szkolnictwie naszem dwie najważniejsze sprawy wysuwają się na czoło zadań państwowych: nauczanie powszechne i zawodowe. Po scaleniu Polski sprawy te przedstawiają się rozmaicie w rozmaitych dzielnicach. Podczas gdy północno-zachodnie okazują najpomyślniejszy stan oświaty, południowe, zwłaszcza wschodnie — najgorszy. Różnice te wynikły z odmiennej polityki wewnętrznej w trzech zaborach. Wogóle rzec można, że posiadamy jeszcze około 40% analfabetów, czyli, że dziś trudno nam dojrzeć i oznaczyć w przyszłości czas, kiedy na tej drodze dościgniemy kraje tak daleko posunięte, jak Szwajcarja, Niemcy a nawet Finlandja. Co do szkół powszechnych zachodzi ten sam wypadek, który powtarza się we wszystkich sferach naszej działalności państwowej: wielki rozmach na papierze, a mały skutek w życiu. Teoretycznym typem ma być szkoła siedmioklasowa, praktycznym zaś jest albo zupełny brak, albo parostopniowa. Pomimo, że po wojnie liczba dzieci pobierających naukę elementarną wzrosła w b. Kongresówce o miljon, połowa ogólnej ich sumy w Rzeczypospolitej pozostaje jeszcze poza szkołą. Ponieważ zaś ani państwo, ani organy samorządu nie posiadają środków na urzeczywistnienie owego wysokiego typu, więc nie pozostaje nic innego, jak zniżyć się do możliwej niziny. W. Wakar, autor gruntownej, bardzo szczegółowo opracowanej, świeżo wydanej, monografji: „Zadania państwa, samorządu i społeczeństwa w sprawie organizacji oświaty elementarnej i zawodowej“ zaleca w obecnem położeniu szkołę z kursem pięcioletnim i dwoma nauczycielami dla ludności w obrębie 10-iu kilom. kw. Co do szkół zawodowych proponuje dwuzimowe rolnicze, dokształcające, przemysłowe i handlowe.

Zaznaczyliśmy tu tylko punkty najważniejsze w oświetleniu ogólnikowem z cennej pracy Wakara, zawierającej bardzo drobiazgowe wykazy i kombinacje statystyczne, które interesujący się tym przedmiotem czytelnik poznać może w samej książce.

A. Ś.

PISMA SLAWISTYCZNE W POLSCE

Polskie Towarzystwo Językoznawcze, o którego założeniu i organizacji (z inicjatywy prof. uniw. pozn. H. Ułaszyna) donosiliśmy w roku zeszłym na łamach „Myśli Narodowej“, urządza w Zielone Święta, 23 i 24 maja, walny zjazd w Poznaniu. Obok wyborów i spraw administracyjnych oraz rozpraw naukowych, (zapowiedziane są referaty prof. Rozwadowskiego i Wędkiewicza, poświęcone zagadnieniom pozytywizmu i idealizmu w językoznawstwie) ważnym punktem obrad będzie sprawa wskrzeszenia „Rocznika Slawistycznego“. Pismo to, wychodzące od r. 1908 w Krakowie pod redakcją prof. Łosia, Nitscha i Rozwadowskiego, stało na niezmiernie wysokim poziomie i przynosiło prawdziwą chlubę nauce polskiej; niestety wojna i brak funduszów spowodowały przerwę w jego wydawaniu. Obecnie, jak mi niedawno donosił rektor Łoś, sprawa wskrzeszenia „Rocznika“ ma „ruszyć z martwego punktu“ — da Bóg, może jeszcze w roku bieżącym „Rocznik“ ukaże się w druku. Jaknajżywsze poparcie tego wydawnictwa przez nasze władze i społeczeństwo jest powinnością naszej ambicji narodowej, byśmy się nie dali zakasować Czechom, Jugosłowianom i Bułgarom, którzy chlubią się obfitem piśmiennictwem naukowem na polu slawistyki — u nas natomiast wychodzi tylko jedno jedyne *) pismo slawistyczne „*Slavia occidentalis*“, wychodzące w Poznaniu, a i to nie doczekało się takiego uznania i rozpowszechnienia, na jakie zasługuje. Zanim napiszę dłuższą wzmiankę o drukującym się właśnie IV-ym roczniku tego chlubnie rozwijającego się pisma (tem chlubniej, że byt swój zawdzięcza przeważnie prawdziwie obywatelskim wysiłkom i ofiarności samych Poznańczyków), wspomnę o jego najważniejszych celach i zadaniach; jest to badanie kultury, historji, języka, etnologji i t. d. szczepu lechickiego, a więc Polaków i wygasłych Połabian, oraz ocena wzajemnych stosunków słowiańsko-germańskich, a tem samem prostowanie fałszów i tendencyjnych twierdzeń, jakie snują uczeni niemieccy. Żeby ocenić ważność i konieczność tego stanowiska, dość przytoczyć parę zdań z pięknego artykułu „Slawistyka u nas i w Niemczech“, który niedawno na łamach „Kurjera Poznańskiego“ (nr. 157, dn. 7.IV) zamieścił zasłużony lingwista i badacz stosunków kulturalnych polsko-niemieckich, prof. uniw. Mikołaj Rudnicki:

„Niemcy pilnie i ze znacznym nakładem pracy śledzą i studjują stosunki słowiańskie oraz germańsko-słowiańskie. Poza licznemi wydawnictwami jednorazowemi istnieje u nich szereg wydawnictw perjodycznych, poświęconych slawistyce i filologji słowiańskiej. Obok gasnącego już „*Archiv für slavische Philologie*“ poczęła wychodzić *Zeitschrift für slavische Philologie*, wydawana przez Maxa Vasmera, prof. uniw. w Berlinie... Po katastrofie Niemcy wracają do przerwanego dzieła przenikania na wschód słowiański. Do tego celu służą im przedewszystkiem studja slawistyczne, mające ich zapoznać z terenem, na którym chcą działać... Jest rzeczą nader ważną wyjaśnienie procesów historycznych, które doprowadziły do tego, że Niemcy z linji Łaba-Solawa potrafili się posunąć aż do dzisiejszej granicy etnograficznej polskiej... Jeżeli samodzielność myśli narodowej we wszelkich zakresach jest konieczna, to łatwo każdy może zrozumieć, o ile ta samodzielność jest konieczna w zakresie badań, dotyczących przeszłości samego narodu, tworzącego państwo. Otóż trzeba wyraźnie powiedzieć, że Polska na wschodzie w ciągu wieków bardzo niewiele zyskała, a w każdym razie zyski te nie wyrównywają strat, poniesionych na zachodzie... Potomkowie dzielnego ludu, który stanowił rdzeń potęgi Mieszka I i Bolesława Chrobrego, na którym opierał się Krzywousty, gdy miał stolicę we Wrocławiu, są obecnie najgorszymi naszymi wrogami i wypisują na nas oszczerstwa najbardziej niesłychane!“...

Wykazawszy, jakiem wzmocnieniem żywiołu polskiego będzie poparcie naszych placówek naukowych, krzewiących znajomość języka i kultury polskiej i słowiańskiej, a wyzwalających myśl słowiańską z pod kierownictwa i przewagi niemieckiej, — prof. Rudnicki tak kończy swe słuszne i głębokie wywody:

„Należałoby i w dyplomacji postawić zasadę, by dyletantów usuwać w sposób zdecydowany, a każdy z naszych przedstawicieli, idąc na placówkę zagraniczną, powinienby wykazać dużą wiedzę w zakresie spraw etniczno-językowych, religijnych i ekonomiczno-społecznych terenu, na którym ma działać. Tak np. do dziś opinja publiczna Europy zachodniej nie jest informowaną, jakie straty terytorjalne i ludnościowe Polska poniosła w czasach historycznych na rzecz Niemiec, co pozwala Niemcom wciąż bezwstydnie wołać o swoich stratach na rzecz Polski. Stratami nazywają oni częściowy zwrot zabranych bezprawnie ziem polskich! A przecież 70 proc. ludności wsch. Niemiec jest pochodzenia słowiańskiego, lechickiego, polskiego...“

Słowa te, wydarte z serca uczonego-patrjoty, nie powinny przebrzmieć bez echa wśród najszerszych warstw społeczeństwa prawdziwie polskiego. Oczywiście badaniami naukowemi na polu slawistyki nie każdy może się zajmować, jednak oświecać się w tych

*) Warszawskie „Prace filologiczne“ (pod redakcją prof. Kryńskiego i Baudouina de Courtenay) mają niebawem też wyjść, ale narazie od czasu dłuższego zalegają w druku.

sprawach każdy z nas może i powinien. Poznajmy lepiej siebie samych i naszych sąsiadów — a unikniemy wielu błędów i klęsk, jakie już przyniosła nam ignoracja i dyletantyzm. A przytem, jeżeli nie chcemy być uważani za naród barbarzyńców i analfabetów, nie pozwalajmy ginąć pismom naukowym. Niestety, tyle ich już upadło!...

J. B.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Redakcję czasopisma „Rozwój", wychodzącego w Warszawie, objął z d. 1 kwietnia znany publicysta i krytyk, autor dzieła „Maski życia", Stanisław Pieńkowski. Pierwszy pod tą redakcją numer, niepodobny do poprzednich, zmienił się korzystnie pod względem treści myślowej i formy literackiej. Pismo to rozpowszechnione jest szeroko i może być pożyteczne jako środek uobywatelnienia sfer drobnomieszczańskich.

Usiłowaniom tow. „Rozwój" i nowego redaktora życzymy powodzenia.

*

Ks. Teodor Czerwiński, prałat kielecki, prot. Apostolski. proboszcz Chęciński ogłosił list w formie broszury p. t. „Dookoła St. Żeromskiego" (Kielce 1926. Drukarnia św. Józefa na Karczówce, str. 15). Rzecz drukowana jako manuskrypt. z tem zastrzeżeniem wydana, o jej treści więc to tylko powiedzieć możemy, że autorem broszury jest sędziwy (85 letni) prefekt gimnazjum kieleckiego, który był wychowawcą duchowym Żeromskiego. Zajął on stanowisko wobec faktów, które się z chwilą śmierci pisarza ujawniły, w poczuciu odpowiedzialności, jaką za losy duszy swego wychowańca ponosi. List napisany klasyczną prozą z wielką siłą przekonania, kończy się ogólnym apelem do religijnych uczuć inteligencji polskiej.

*

„Le Temps" z 3 kwietnia ogłasza obszerny artykuł Jana Lorentowicza o Żeromskim i Reymoncie.

U SŁOWIAN

Istniejąca we Lwowie już czwarty rok „Liga polsko-jugosłowiańska" jest w Polsce najwydatniej dla idei słowiańskiej działającem stowarzyszeniem. W roku ubiegłym Liga uskuteczniła szereg przedsięwzięć w kierunku zacieśnienia stosunków kulturalnych polsko-jugosł. Pracami Zarządu w zastępstwie chorego prezesa Jana Kasprowiaza kierował wiceprezes, wicewojewoda lwowski Adam Karchesy. M. in. postarała się Liga o utworzenie lektoratu języka serbskochorwackiego na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, urządziła dwukrotnie kurs tegoż języka dla swoich członków, przyczyniła się do zawiązania „Akademickiego Koła Przyjaciół Jugosławji", zainicjowała i zorganizowała wspaniałe przyjęcie białogrodzkiego chóru „Obilić", prowadziła też ożywioną propagandę prasową, informując lwowską publiczność na łamach „Słowa Polskiego" o sprawach jugosłowiańskich. Zarząd, na którego czele stanął, jako prezes, p. Karchesy, zamierza w dalszym ciągu być pośrednikiem w kulturalnych stosunkach obu narodów, urządzając szereg odczytów naukowych, literackich i krajoznawczych, koncerty kompozytorów jugosł. jak też — w lecie b. r. — wycieczkę do królestwa SHS. Liczba członków Ligi dochodzi 300-u.

*

Istnieją i w Jugosławji towarzystwa przyjaciół narodu polskiego. Tu, obok „Klubu polsko-jugosł." w Belgradzie (prezes p. Radivojević) wymienić należy przedewszystkiem „Poljsko Kolo" w Zagrzebiu (polską sekcję Towarzystwa Literatów Chorwackich). Pracują tam wybitni chorwaccy literaci, pp. Benesić i (sekretarz Koła Polskiego) Dr. Ivan Esich. Ten ostatni nader często pisuje o sprawach polskich w najpoczytniejszym dzienniku zagrzebskim *„Obzor"* i w przeglądzie polit. *„Nova Evropa"*. Ostatnio, w dniu 21 lutego b. r., urządziło Koło Polskie wspaniałą akademję ku czci Żeromskiego i Reymonta, na której zjawiła się elita sfer kulturalnych Zagrzebia z prezesem Jugosłowiańskiej Akademji Nauk Manojlovićem, rektorem Perovićem, biskupem Premusem i gen. Uzun-Mirkovićem na czele.

*

Z istniejących w Czechosłowacji towarzystw przyjaciół Polski najowocniej działa praski „Klub czesko-polski", którego prezesem jest zasłużony polonofil Dr. Józef Fuhrich. Klub poniósł w r. ub. ciężką stratę przez śmierć znakomitego tłumacza naszej poezji, „epigona polskiego romantyzmu" Fr. Kvapila. Zarząd Klubu pracuje w ściśłem porozumieniu z praskiem „Ak. Kołem Przyj. Polski" (prezes J. Michl), oraz klubami polsko-czeskiemi w Bernie, Bratislavie i Pilźnie. Urządzano co 14 dni zebrania towarzyskie, odczyty i koncerty, uroczyste akademje ku czci Żeromskiego i Reymonta, wspaniale przyjęto na Wielkanoc r. 1925 wielką polską wycieczkę z Warszawy. Liczba członków Klubu zwiększa się stale.

*

Ukazał się marcowy (3) numer czeskiego miesięcznika, poświęconego Łużycom *„Cesko-luzicky Vestnik"*. Zawiera on następujące artykuły: „Pozdrowienie z Czech" El. Krasnohorskiej (piękny wiersz skierowany do Łużyczan sędziwej tłumaczki „Pana Tadeusza") — Rosjanie w Łużycy w r. 1804 (Vl. Kulman) — Z życia w Łużycy — Sprawozdania (o ruchu sokolim, etc, ze spraw polskich notatka o polskich słowianofilach D-rze W. Taszyckim i H. Batowskim, i o słowiańskiej rubryce w „Myśli Narodowej").

*

W nr. 65 urzędowego dziennika Czechosłowacji *„Ceskoslovenská Republika"* w dziale poświęconym kulturze, znajdujemy ciekawy szkic D-ra B. Vydry, lektora jęz. czeskiego w uniw. warszawskim, p. t. „Juljusz Zeyer a Polacy". Autor podnosi, że dzięki literackim walorom swej twórczości, „Zeyer aż do dziś jest w Polsce najpopularniejszym czeskim autorem, którego przekładów nie brak w żadnej większej polskiej księgarni. a którego dzieła zna każdy przeciętny czytelnik polski". Największe zasługi dla przyswojenia Zeyera literaturze polskiej położył Zenon Przesmycki. Tu zaznaczyć należy, że Zeyer jest wogóle jedynym poetą czeskim, który zainteresował znaczną liczbę polskich literatów, inni są u nas bardzo mało znani, z nader nielicznych przekładów, ostatnio w „Antologji współcz. liryki czeskiej" W. Bunikiewicza (Warsz. 1924).

*

Opuścił prasę numer 5-6 organu partji federalistów macedońskich, wychodzący w języku bułgarskim w Wiedniu p. t. *„Makedonsko Saznanie"* (Macedońskie samo-poczucie). Treść numeru jest następująca: Stowarzyszenie gospodarcze (Koco H. Rindo) — Zbliżenie serbsko-bułgarskie, po francusku, (Dr. T. Jankov) — Ku paktowi bałkańskiemu — Republika czy monarchja (H. Gjorgiu, na tle stosunków greckich) i po polsku drukowany artykuł „Macedonja", napisany przez H. Batowskiego, sekretarza T-wa Bułgarsko-Polskiego we Lwowie, w którym autor m. in. podnosi koncepcję utworzenia trzech federacyj słowiańskich: północnej, polsko-czeskosłowackiej, południowej, jugosłowiańsko-bułgarskiej, i wschodniej, (Rosja, Ukraina i Białoruś).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dnia 5-go b. m. zmarł w Paryżu, przeżywszy 70 lat, Gustaw Geffroy, prezes Akademji Goncourt'ów, znany powieściopisarz oraz krytyk literacki i artystyczny. Z powieści jego cieszyła się wielkim rozgłosem w swoim czasie powieść *„L'Apprentie"*, której tłem historycznem jest komuna paryska. Dalszy ciąg tego utworu napisany został przed dwoma laty p. t. *„Cecile Pommier"*. W przekładzie polskim istnieje świetnie napisany żywot głośnego rewolucjonisty francuskiego Blauqui'ego (*„L'Euferme"*). Nadewszystko jednak wsławił się Geffroy jako krytyk artystyczny. Niejeden ze znakomitych malarzy francuskich, jak np. Renoir, Sisley, Monet, Carrière, Degas i t. p., zawdzięczał zmarłemu swoje powodzenie. Napisał nadto Geffroy szereg znakomitych monografij i studjów o mistrzach dawniejszych, o Rembrandt'cie, Fr. Halsie, Leonardo da Vinci'm, Velasquezie, Goyi i w. innych. Wydał ogromną encyklopedję muzeów europejskich, o której sławny malarz Degas wyrażał się z entuzjazmem, że gdyby ją miał w dwudziestym roku życia swego, to by malował lepiej.

Należał Geffroy do tego typu pisarzy starszego pokolenia, który żył z wyraźnym ideałem w duszy i jemu oddawał bezinteresownie siły swoje. Słynął z dobroci i z wierności w przyjaźni. Był najbliższym przyjacielem Clèmenceau, który pożegnał go wzruszonemi słowy, kończąc przemówienie swoje w ten sposób: „Chciałbym, żeby dla przyjaciół Geffroy, pamięć o tym, który odszedł, streściła się w tej filozofji: śmierć jest oczyszczeniem życia".

*

Micheline et l'Amour (Plon édit.) jest utworem czterech autorów i to tej miary, co Paul Bourget, Gérard d'Houville, Henri Duvernois i Pierre Benoit. Tematem powieści jest zawiedziona miłość nieszczęśliwej Micheline, szukajacej ucieczki w miłości macierzyńskiej. Różnorodne zalety, które cechują talent każdego z czterech autorów, znajdujemy zebrane w tem wspólnem ich dziele.

*

Znany literat, p. Jean-Louis Vaudoyer, zainicjował bardzo interesujące wydawnictwo p. t. *„Portrait de la France"*. Każdy autor, którego książka wyjdzie w tym zbiorze, ma w niej opisać

wrażenia z tego miasta Francji, które jest mu najbliższe i najbardziej drogie, lub też skreślić wspomnienia z miejscowości, którą zamieszkiwał. Pierwszy tom tego zbioru napisany został przez Henry de Régnier i opisuje *„Paray-le-Monial“*, kolebkę rodziny de Régnier, miejscowość sławną dzięki opactwu Cluny oraz wspomnieniom o jenerale Charette.

*

Philippe Soupault, autor niewątpliwie utalentowany, należący do grupy t. zw. „surréalistów“, wydaje książkę p. t. *„Le bal de l'Amour“*.

*

Nakładem księgarni Payota ukazała się niezmiernie interesująca praca p. Raoul Praty p. t. *„La religion dans l'Allemagne d'aujourd'hui: catholicisme, protestantisme, christianisme païen et racisme, judaïsme“*. W dziele tem wykazuje autor polityczny charakter zagadnień religijnych w Niemczech, przewrót, jaki nastąpił wskutek rozdziału kościoła od państwa oraz fanatyczny rozwój dogmatu „rasowego“ *(Deutsch-Völkische)*. Opisy walki jego z judaizmem oraz rozwoju antysemityzmu w Niemczech należą do najciekawszych stronic tej książki. W ostatnim rozdziale autor zaznacza, że kwestjami religijnemi w Niemczech bardzo żywo interesuje się młodzież, wobec czego przyszłość Niemiec zależy poniekąd od dyrektyw, jakie młodym generacjom dadzą ich duchowi przewodnicy.

TEATR

NOWA SZTUKA KIEDRZYŃSKIEGO

ZPOŚRÓD nowych utworów scenicznych, które widziałem, wyodrębniają się w osobną grupę dzieła zawodowych dramaturgów warszawskich. Jest coś wspólnego, co łączy Krzywoszewskiego, Grubińskiego i Kiedrzyńskiego. Należy tu poniekąd i German, aklimatyzowany w Warszawie. W którąkolwiek stronę skierują ci twórcy reflektory swojej wyobraźni, zawsze widzę Salome, jako ideał kobiety (typu pośredniego między Messaliną a Messalówną) na tle specyficznie zabarwionem, zawsze ten sam kształt człowieka, po warszawsku pojętego. Widzieliśmy przecież w ostatnim czasie Zegadłowicza, Rostworowskiego, Brończyka, Rączkowskiego. Każdy z nich był inny i wszyscy niepodobni do tej grupy warszawskiej.

Cóż jest marką tych warszawskich? Najogólniej mówiąc: zacieśnienie życia do zakresu użycia zmysłowego, zupełny brak zainteresowań światem duchowym, a-duchowość, a-moralność, a-polityczność—człowiek dolny. Sądzę, że ten wspólny rys zawdzięczają oni swemu wychowaniu w środowisku, które nazwałbym dziennikarstwem, swemu losowi pisarskiemu, że patrzyli na świat z parterowej loży, której dzienikarzowi dostarcza darmo wielkie miasto. Ten punkt obserwacyjny wszystko tłumaczy, gdy się wie, czem była przed wojną redakcja popularnego dziennika w owej Warszawie, dekapitowanej, odciętej od górnego życia społecznego. Był to punkt centralny prywatno-publicznych stosunków towarzyskich, instytucja opinjodawcza, akademja. Wyżej już nic nie było.

Im bardziej warunki przygniatały z góry, oduczając dziennikarza polityczności i patrzenia w górę, tem głębiej wchodził w życie dolne uliczno-towarzyskie, które było zabawą, bankietem, użyciem. Zapewniony miał najlepszy kąsek na biesiadnym stole Warszawy. Użycia nikt nie wzbraniał; środowisko wchłaniało przez nie pisarza na swój potoczny użytek. A ponieważ w dużem mieście, do tego polskiem, wybitną rolę odgrywa kobieta, przeto ona stała się pryzmatem i życiowego i poetyckiego pół-światopoglądu. Zainteresowania umysłowe nie przekraczały horyzontu wód cenzurowanego dziennika, wszystko pozatem było nie tylko obce, ale i niepoważne. Stąd ułamkowość i specyficzność człowieka w literaturze z czasów uprzemosłowienia dziennika warszawskiego. Dziennik zawsze ogniskował ludzi pióra, ale inne to było ognisko w czasach Ochorowicza, Prusa, Sienkiewicza, a inne w czasie zupełnego upadku myśli politycznej przed wojną, inne też staje się teraz w czasach panowania partyj.

Wymienieni na początku pisarze celują talentami, znawstwem sztuki scenicznej, ale słabą stroną ich wszystkich musi być mały kąt widzenia świata (człowieka).

Prozą człowieka dolnego jest pieniądz, poezją to, co za pieniądz zdobyć można dla używania — wino, kobieta, dancing. Ten sam motyw jest strawą codzienną bulwarowego teatru paryskiego i to naszych pisarzy rozgrzesza, daje im swobodę w produkowaniu się ze swoim Paryżem. Ale ta jest między paryskimi pisarzami a naszymi różnica, że tamci mają kompletniejszą kulturę i nie popełniają uchybień w psychologji społecznej. Francuski pisarz prezentuje na scenie człowieka przy zabawie, czy w zabiegu miłosnym, więc również cząstkowo i przyziemnie, ale zawsze można przez przedłużenie linji konturu wyobrazić go sobie, jak wyglądałby w chwili statku, jako człowiek pewnej społeczności i sfery. Dlatego żarty pisarza kulturalnego nie budzą niesmaku, nie sa wykroczeniem przeciwko poczuciu człowieczeństwa.

W zastosowaniu do komedji Kiedrzyńskiego, którą teraz wystawił teatr Polski — „Wino, kobieta i dancing“, uwaga powyższa jest już oceną. Autor ma doskonałe poczucie rozpustnej kobiety, żerującej w naszych czasach na polu dancingowem. Nęcił go temat, jakby taka kobieta wyglądała w dworze wiejskim, majaczył mu nawet morał, którymby należało drastyczność sprawy okupić. Ale nie starczyło na to wszystko myśli artystycznej i nerwy człowieka kulturalnego musiał szarpnąć dysonansami. Reprezentantowi tradycyj obyczajowych i etycznych starego dworu autor nie umiał dać duszy i pozwala mu w obliczu wnucząt i służby tarzać się u nóg jakiejś szelmy z półświatka. Wszystko, co wie o pozytywnej stronie życia normalnego, to zaczerpnął z dawniejszych komedyj polskich, które widział na scenie, więc z drugiej ręki (panienka we dworze, jej narzeczony), dobry typ miejski spłowiałego męża awanturnicy, męża parawanu, wziął zdaje się z Zapolskiej (mąż Tuśki). Bezpośrednich studjów, prócz dancingu i spożycia alkoholu, nie widać.

Pole widzenia — jak mówiłem wyżej — ściśle odpowiada dziedzinie eksploatacyjnej warszawskiego dziennikarza starej daty. A że ścisłe jest to oznaczenie kąta obserwacji, na dowód wskażę rys istotny — owo dowcipkowanie na temat rządu i parlamentu. Dla ludzi dolnych, „wyżywających się“ całkowicie w świecie zysków materjalnych i uciech zmysłowych, śmieszna jest sama legenda o wyższych szczeblach życia publicznego. Ich środowisko najlepiej się bawi dowcipami o posłach i ministrach; i to ludziom nawet schlebia, że pisarz sławny w mieście to samo o polityce myśli, co każdy inny człowiek dolny, a mianowicie nic nie myśli.

Nie mam bynajmniej zamiaru kwestjonować Kiedrzyńskiemu zasłużonej reputacji majstra scenicznego, pełnego temperamentu i rutyny. Gdyby z tym swoim talentem gdzieś w szerszem polu przeżył dzieje pełnego człowieka, gdyby swoją myśl artystyczną wydobył z poetyckiego nad życiem zamyślenia, mógłby obdarzyć sztukę polską dziełem niepospolitem. W pół-świecie, w pół-światopoglądzie, w pół-człowieku marnuje się artysta. Lepiąc lalki z okruchów cudzych dla zabawienia motłochu, a ze szczególną pasją do łydek, zabija w sobie tęsknotę do tajemnicy całego człowieka. Nie pomogą nadrabiania morałem dziennikarskim. Sztuka posiada moc *castigare mores* tylko wtedy, gdy odwołuje się do człowieka górnego.

Sztuka Kiedrzyńskiego wypadła dwuznacznie nie tylko dla moralizatora, ale i dla reżysera. W ręku bowiem twórcy

splątały się motywy wzorów operetkowych i komedjowych, szarża groteskowa z liryzmem odpowiedzialnym za swoją psychologję. Każda przeto scena, każda rola grana była w innej tonacji. Starszy pan w osobie zawsze znakomitego artysty p. Maszyńskiego grał fałszywą rolę na przepadłe w zbyt wysokiem podnieceniu, jakby z zażenowania przed tradycjami swego domu; młody pan (p. Łuszczewski) lawirował między typem faceta warszawskiego a typem honorowego panicza z dawnych komedyj i pogłosek; panna Mazarekowna z wdziękiem ratowała stracony już w oczach mieszczuchów posterunek uczciwej panienki domowej; pan Fritsche był doskonały, jakby go Sardou napisał; p. Kamińska jako księżniczka dancingu, pełna wyrazu w kończynach dolnych, *au-dessous*, tudzież *au-dessus*, grała kobietę „dolną" dosłownie całą istotą. (Teraz na scenie tak się ściska i całuje nogi kobietom, jak dawniej ręce, tylko trochę wyżej). Publiczność była rada, wszystko wyrównała oklaskami.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

„Fortunat". (Około r. 1570). Wydał Juljan Krzyżanowski, Kraków 1926. Nakładem Pol. Akademji Umiejętności. Bibljoteka pisarzów polskich Nr. 78 str. 187.

Archiwum Komisji do badania historji filozofji w Polsce. T. II. cz. 2. Kraków 1926. Nakładem pol. Akademji Umiejętności, str. 156.

Mikołaja Sępa Szarzyńskiego (zm. 1581). Wybór poezyj. Wydał Ignacy Chrzanowski (Warsz. 1926). Gebethner i Wolff. Bibl. Uniw. Ludowych, 234.

Casimir Smogorzewski. La politique polonaise de la France. Dèclarations d'hommes d'etats, savants, écrivains et publicistes français. Introduction de Z. L. Zaleski. Paryż 1926. Gebethner Wolff. str. 119.

Paul Janet. Historja filozofji. Przełożyła E. Rutkowska, przejrzał prof. dr. M. Sobeski. Poznań 1926. Fiszer i Majewski.

Stanisław Głąbiński. Ustrój skarbowy Rzeczypospolitej Polskiej. Poznań 1926. Fiszer i Majewski.

Wiktor Kossonoga. O śnie nocy letniej. Rozmowy z czytelnikiem i aktorem. Łódź 1926. str. 24.

Jalu Kurek. Kim był Andrzej Panik? Andrzej Panik zamordował Amudsena. Powieść autobiograficzno-sensacyjna. Kraków, 1926. Nakładem „Zwrotnicy".

Jan Webster. Długonogi Iks. Powieść. Warszawa, 1926. Bibl. dzieł wyborowych.

Sykstus Leon Lewicki. Skandal w L. O. P. P. i t. p. Warszawa 1926. Nakładem autora.

Ruch Literacki. Warszawa, marzec, nr. 4.

Przegląd Bibljograficzny, dwutyg. nr. 7. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ZAPOMNIANI

Kiedy od chwili ustanowienia orderu „Odrodzenia Polski", spływa on deszczem rzęsistym za różne zasługi, zapomniano o tych. których należało uczcić przedewszystkiem, a mianowicie cichych bohaterów i bohaterki z męczeńskiego Podlasia. Ci, broniąc wiary ojców, bronili polskości wówczas, gdy nikt nie walczył o nią. Wstrząsające studjum „Z ziemi chełmskiej" Reymonta, to tylko jeden motyw w ich martyrologji. Dlatego też ci, którzy jeszcze żyją, nie tylko powinni być odznaczeni, ale uczczeni bodaj przez cały naród.

Żyje jeszcze np. Anna Szucka, ze wsi Hruda, (gm. Witulin pow. Konstantynowski), która zbiegła do lasu wraz z sześcioma kobietami i drobnemi dziećmi z tej samej wsi, żeby nie dopuścić do ochrzcenia tych dzieci w cerkwi. Kobiety te ścigane, tropione, osaczane, jak dzikie zwierzęta, spędziły w strasznych warunkach i niepewności życia przeszło sześć tygodni, zdecydowane raczej życie postradać, niż ulec przemocy.

A takich dowodów bohaterstwa i poświęcenia było wiele. Warto przypomnieć je, jako przykład i naukę dla przyszłych pokoleń.

M. BORETTI

NA MARGINESIE

W prasie semi-polskiej już pojawiają się suggestywne artykuły p. t. „Przykład Danji". Kraj ten będzie teraz modny, jako politycznie rozbrajająco ufny hasłom pokoju. Poprostu rozbroił się, zniósł wojsko. Z tego powodu pod obsłonkami p. Orsza z Rajchmanów Radlińska pisze, że Danja weszła w okres „meljoracji dusz". Nad taką meljoracją w Polsce pracuje usilnie masonerja, nie mająca jeszcze odwagi powiedzenia wprost: oddajcie Polskę Niemcom! Agitacja wewnętrzna na rzecz Niemiec rośnie z dnia na dzień pod oszukańczemi hasłami.

*

„Co dalej? — pyta w „Głosie Narodu" prof. Kutrzeba. Sytuacja naszego państwa jest poprostu rozpaczliwa: Nawet optymiści załamują ręce. Tak dalej iść nie może". Właśnie tak dalej pójdzie, bo obrońcy „zdobyczy społecznych" jeszcze nie skończyli kształcić społeczeństwa w pragnieniu zamiany rozstrojonej republiki na monarchję, bo ministerja dla oszczędności wyprowadzają zbytecznych urzędników jednemi drzwiami a wprowadzają drugiemi, bo p. Zdziechowski walczy jak *Hercules contra plures*, bo p. Moskalewski zrzekł się osaczonego ze wszystkich stron stanowiska komisarza oszczędnościowego, bo gromada łupieżców skarbu publicznego nie daje sobie wydrzeć łupów, a zbiedzone, odarte, znękane społeczeństwo nie stanie, jak bezrobotni, przed sejmem i nie zawoła: Dosyć grabieży, bezprawia i nierządu! A koniec? Życie go przygotuje.

*

Pan Wassercug w „N. Kurjerze Polskim" pisze. „Tę samą tezę, co p. Roman Dmowski w broszurze „Kwestja robotnicza wczoraj i dziś", wykłada p. Konstanty Srokowski,.. Z tą jednak różnicą, że wywody p. Srokowskiego są głębsze"... Odkrycia tej nowej zgoła hierarchji umysłów pismo żydowskie dokonywa z całą powagą. Co u licha tak głębokiego wymyślił p. Srokowski? Oto pisze: „Narody europejskie muszą zrozumieć, że są częścią (chyba częściami) jednej, żywej nierozerwalnej całości, że łączy je absolutna wspólnota historycznego losu, że więc kategorycznym nakazem rozumu i samozachowania powinno być przedewszystkiem poczucie ich solidarności wzajemnej"... „Nad dwoma tuzinami szczerzących na siebie zęby i walczących nacjonalizmów musiałby się wznieść nowy patrjotyzm — europejski"... Tak sobie gwarzą masonowie z żydkami, rozdając sobie premja za głębokość rozmaitych „powinno być", „musiałby się" i t. p. Jeżeli jest prawdą, co powiadają, że p. Skrzyński z funduszów dyspozycyjnych utrzymuje ten dziennik pp. Grosterna i Wassercuga, to trzeba przyznać, że mamy dużo pieniędzy w skarbie. Wydawanie ich na „patrjotyzm europejski" jest wyrzuceniem ich za okno. To istotnie bardzo „głębokie".

*

Zdz. Dębicki w „Kurjerze Warszawskim" (nr. 100) snuje nić marzeń, coby to było, gdyby... projektowana nagroda literacka m. Warszawy dosięgła wysokości 50 tys. zł. Żeby tak mogło być, inne miesta powinny się przyczynić do tego funduszu. Dębicki wyraża pewność, że pierwszą nagrodę stolicy otrzyma Or-ot.

Dla piszącego te słowa sprawa owej nagrody przedstawia się niezbyt solidnie jako myśl społeczna. Niechże bowiem najlepszym poetą będzie człowiek już zamożny. Wtedy komitet premjujący będzie w kłopocie, nieprzyznanie bowiem temu poecie nagrody narazi członków tego komitetu na zarzut, że się nie znają na poezji, a przyznanie funduszu zamożnemu, gdy inni z głodu zdychają, będzie czemś bezmyślnem. Czyż nie lepiej rozbić sprawę na dwie funkcje: 1) najlepszemu poecie — wianek laurowy, 2) najbardziej potrzebującemu — pieniądze. Być może, że najlepszy będzie też najbiedniejszy.

Znam pierwszorzędnych literatów (mogę ich wskazać poufnie), którzy dosłownie głodzą siebie i rodzinę, spać na czem nie mają. O ich doli niema z kim gadać. Dla nich 5 zł. jest majątkiem. Gdyby tacy z funduszu na nagrodę przeznaczonego (15,000 zł). mogli dostać po 300 zł. miesięcznie; to cztery warsztaty za te pieniądze byłyby dla literatury ocalone. Że najlepszy z pisarzy popularnych, który zawsze jest najlepiej opłacany, nabędzie willę, to stanu literatury ani na jotę nie zmieni. Trzeba ratować wartościowych pisarzy, właśnie niepopularnych, bojkotowanych, pozostających w nędzy. Sama popularność jest już zdobytą nagrodą, a nagradzanie ich jest tylko popisem na koszt społeczny tych, co nagrodę uchwalają, zabawą towarzyską. Ciałem, które nagradza, musi być takie grono, które wie, jaka roślina jest najbardziej w danej chwili potrzebna, a trudna do hodowli i wymaga podlania. Ustalanie wielkości przez ciała niepowołane wprowadza tylko zamęt do kultury.

*

Także logika. Ponieważ ostatnia podwyżka ceny biletów w tramwajach spowodowała znaczne zmniejszenie ruchu osobowego i dochodów, więc Magistrat zamierza — nie śmiejcie się! — podwyższyć cenę biletów. Jest to typowa logika wielu naszych władz. Bawilibyśmy się nią serdecznie, gdybyśmy nie musieli się smucić.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.